

FORUM 90

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów

Stanisław Ignacy Witkiewicz
Kuszenie św. Małgorzaty



W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Paragraf a lancet*
- Piotr Szydłowski, *Gdzie jest niebo?*
- Agata Ursyn, *Religia w polskiej szkole publicznej. Trudne współlistnienie*
- Alicja Górowska, *Trzeci wiek – czwarty bieg*



1 OD REDAKTORA NACZELNEGO

TEMATY SPRZED LAT

- 2 Piotr Augustynek – *Wstęp i opracowanie*
T. Boy-Żeleński – *Paragraf a lancet*

MYŚLĄC BELFREM

- 8 Piotr Augustynek – Zegarmistrz z młotkiem

REFLEKSJE

- 10 Piotr Szydłowski – *Gdzie jest niebo?*
11 Piotr Szydłowski – *Heksaameron*

RELIGIOZNAWSTWO

- 12 Bogumił M. Woźniakowski – *Wolnomularstwo w Polsce*
w okresie Międzywojennym cz. II

W STULECIE ODZYSTANIA NIEPODLEGŁOŚCI

- 18 Kazimierz Pasenkiewicz – *Rok 1917-1918 w okopach*
nad Dźwiną. Ostatnie tygodnie wielkiej wojny na wschodzie

PAŃSTWO A KOŚCIÓŁ

- 24 Agata Ursyn – *Religia w polskiej szkole publicznej.*
Trudne współistnienie
29 Piotr Szydłowski – *Sojusz ołtarza z tronem*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 32 Danuta Stolarek – *Aleksander II i jego burzliwe życie cz. II*
Jekatierina Michajłowna Dołgorukaja

FELIETONY

- 42 Alicja Górowska – *Trzeci wiek – czwarty bieg*
47 Marchoń – *Gorzki smak papieskiej kremówki*
48 Babcia – *Beatyfikacja*

LITERATURA

- 49 Witkacy – *Zagwazdranie ogólne, czyli refleksje o nas*
52 Maristella – *Li tempi de na vorta* – przekład Aldona Pałys
53 Jaroslav Hašek – „Świat Zwierząt” – przekład Jacek Baluch
55 Albert Krantz – *Wandalia* – przekład Józef Kabaj

58 Z PORTALI INTERNETOWYCH

61 KRONIKA

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,
dr Adam Bańdo – sekretarz Rady.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

Smutno zabrzmiało to co powiem, ale powiem: wiara, że ludzie są lepsi niż się okazują, jest naiwnością; dotkliwą przeważnie, a niekiedy nawet szkodliwą. No i co z tego? Ano to, że należy uczyć dzieci i młodzież niewiary. Choćby nie wiem co...

Pamiętam, jak jeden z naszych profesorów – prawie bliski śmierci, lecz jeszcze wykładający (wówczas tylko w domu) – dał nam kiedyś pewną radę. Niejako na marginesie swego wykładu z literatury greckiej, cytując bodaj Menandra, powiedział: – Gdyby komuś z was marzyła się kariera uczonego/uczoney, niech pamięta tę oto wskazówkę starożytnego poety: „pamiętaj nie wierzyć” (μὲμνησο ἀπιστεῖν, lub θυμάμαι ἀπιστεῖν).

Powiedział tak, choć był wierzącym. W każdym razie za takiego uchodził, ponieważ do końca – póki mógł – chodził do kościoła. Nie był uczonym o światowym rozgłosie, lecz jako hellenista przed wojną kształcony posiadał perspektywę rzadko dzisiaj osiągalną jeśli chodzi o humanistykę i wolną myśl, w której celowali antyczni Grecy. Tymczasem ogół naszego i nie tylko naszego społeczeństwa daje sobie wmawiać od dwu przeszło tysiącleci, czyli od czasów antyreligijnego Epikura i jego rzymskiego kontynuatora Lukrecjusza, że „w coś trzeba wierzyć”.

Chodzi tu właśnie o perspektywę patrzenia i o swoiste sformułowanie dewizy życiowej. Nie mówi się bowiem: wierz/ufaj **komuś**, lecz „wierz w **coś**”. A w **co** właściwie? Tego nie wie nikt... No to może lepiej byłoby...

Nie ma lepiej, jako że lepsze jest – jak mówi inna mądrość życiowa – wrogiem dobrego. A to, czy wierzymy nauce, która nieustannie dokonuje korekt (i co za tym idzie – wykształconym lekarzom), albo mitom i od nich pochodnym „teoriom spiskowym” – to już sprawa naszej osobowości i zasobów intelektu.

Ale, niestety, nie tylko nasza. Przykład: noszenie maseczek w czasie pandemii. Przy czym uodpornieni nie muszą nosić maseczek, bo są odporni. Jeśli jednak je noszą, robią to dla tych, którzy mogliby od nich dostać wirusa; on bowiem przenosi się także z odpornych. Dla kogo więc jest śmiertelnie groźny? Dla niemających odporności, rzecz jasna.

Zatem życzę zdrowia

Redaktor Naczelny

Przypominamy dzisiaj tekst Boya (mamy świadomość jego ciężaru obyczajowego i konotacji społecznych), który dotyka zagadnienia bardzo trudnego, wręcz niemożliwego do jednoznacznego rozstrzygnięcia.

Aborcja jako temat obrosła w tyle nadinterpretacji i tyle niedomówień, że z czasem mnożą się pytania przy niedostatku odpowiedzi. To jeszcze można zrozumieć. To przecież zagadnienie dotyczące KOBIEC, ale i o mężczyznach nie można zapominać. Już nasuwają się rozliczne określenia, takie jak odpowiedzialność, empatia, dojrzałość (lub jej brak) itd., itp.

Rodzić czy usuwać? Jeśli tak, to kiedy? Jeśli absolutnie nie, to dlaczego?

Dotychczas nasz Patron znany jest bardziej jako kpiarz i szyderca, zagorzały krytyk moralnej kontroli sprawowanej przez hierarchów kościoła w domach, teatrach, sypialniach, urzędach itd.

Tymczasem Boy jawi nam się jako lekarz. Lekarz wątpiący, mający świadomość położenia „między”. Między prawem a biologią, religią a zdrowym rozsądkiem, wolnością a przymusem, przywilejami a ich brakiem itd.

Wystarczy uważnie przeczytać ten tekst, a jasną się stanie postawa zacnego doktora, który potrafi się przyznać, że tak naprawdę NIE WIE, jak na ten problem poradzić. Czy zatem poniechać myślenia o tym zagadnieniu? Zostawić rzecz na pastwę przypadku, a może pozwolić, pożał się Boże politykom, wykorzystać temat aborcji jako instrument przymusu, aby zyskać w sondażach?

Od stuleci już wiadomo, że w tak delikatnych sprawach prostacki mechanizm zakazu po prostu nie działa. Co zatem czynić? Tego nawet Boy nie wiedział. Jestem jednak przekonany, że nie zaakceptowałyby antyhumanitarnych, wykluczających, pogardliwych postaw decydentów. Nie godziłby się na ogrom zakłamania, jakim obrosła ta dziedzina życia społecznego.

*Wybór, opracowanie i wstęp:
Piotr Augustynek*

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

PARAGRAF A LANCET

Skoro już zdecydowałem się poruszyć ten drażliwy temat, trzeba go oświetlić ze wszystkich stron, aby dać miarę trudności całej kwestji¹. Przejdźmy z kolei od prawników do lekarzy. Uderzyć może jedno; mianowicie, że na ogół lekarze są tu mniej liberalni od prawników. Narazie mogłoby to zdziwić: jakto, oni, którzy bardziej niż kto-

kolwiek znają bezmiar niedoli kobiecej? A jednak tak; faktem jest, że od tego zagadnienia społecznego, jakim jest niewątpliwie objaw masowego przerywania ciąży, lekarze odnoszą się niechętnie.

Składa się na to szereg przyczyn. Po pierwsze, nie są, jak prawnicy, z zawodu swego zmuszeni ogarniać całości społecznego mechanizmu; trwają tedy, po większej części, w nawykach myślowych, w których wzrosli. Powtóre lekarze mają w tej sprawie

¹ W artykule zachowano oryginalną pisownię i składnię.

odrębne stanowisko: oni są tu *wykonawcami*. Otóż, gdyby nawet prawo zwolniło zupełnie zabieg przerywania ciąży od kar, zawsze zostanie w nim dla lekarza coś, przed czym będzie się wzdragało jego poczucie lekarskie: jego zadaniem jest leczyć choroby, nie zaś – dla względów obcych napozór² jego sztuce – przerywać stan fizjologiczny u osoby zdrowej, może narażając ją na chorobę. Lekarze wiedzą, że zabieg ten, mimo że, o ile jest wykonany umiejętnie, naogół nie niebezpieczny, zawsze jednak jest zdradliwy i może mieć niepożądane skutki. Wprawdzie wzorowo wykonane przerwanie ciąży mniej – procentowo – przedstawia ryzyka od porodu, ale – w przeciwieństwie do porodu – całe ryzyko spada tu na lekarza. Jest to więc zabieg w istocie swojej dla lekarza niesympatyczny; i słusznie. Na to, ktoś patrzący szerzej odpowie: „Zapewne, zabieg jest nieobojętny i niesympatyczny, ale faktem jest, że istnieje; gdy go nie zrobi lekarz, zrobi go kto inny, i wówczas jest sto razy gorzej”. I też ma słusność.

Z drugiej strony, wchodzą tu w grę skrupuły etyki lekarskiej. Niema co owijać w bawełnę: gdy pewna ilość lekarzy uprawia na wielką skalę przerywanie ciąży i czerpie stąd znaczne zyski, inni, widząc w tem igraniu z kodeksem ujmę dla stanu lekarskiego, zdwajają swą surowość. W każdym razie, lekarze mają tendencję zamykać się w sferze względów ściśle lekarskich; „reszta, powiadają, nie należy do nas, niech się tem kłópcie społeczeństwo”. Widzimy zgoła ekscesy surowości takie, że w niektórych Towarzystwach ginekologicznych stawiano wnioski, aby lekarze, poza swoją przysięgą lekarską, zobowiązali się *słowem honoru*, że nigdy, pod żadnym pozorem (oczywiście poza bezpośrednim niebezpieczeństwem matki), nie będą przerywali ciąży. I z pewnością niejedna kobieta pada ofiarą tej surowości, spowodowanej

² Mówię *napozór*, bo wszak nietylko bezpośrednio zdrowie jednostki jest przedmiotem medycyny, ale i najszerzej pojęta higiena społeczna.



Poradnia Świadomego Macierzyństwa w Warszawie
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

tendencją do oczyszczenia stanu lekarskiego i obmycia go z krzywdzących podejrzeń. I oto tragiczny paradoks: gdy „nieetyczny” lekarz jest często zbawcą, lekarz etyczny bywa niemniej często pośrednim zabójcą. Bo owa nieszczęsna sprawa ma tę właściwość, że często rzecz, dobrze i uczciwie pomyślana, działa w skutkach najfatalniej. Tak np. obowiązek lekarza donoszenia o wypadkach zakażenia, w praktyce okazuje się szkodliwy, bo kobieta, bojąc się lekarza, często nie wzywa go nawet w ostateczności.

Słusznie zaczyna swój wstęp do broszury prawnika prof. Glasera lekarz prof. Jakowicki, słowami, że „chcąc krótko scharakteryzować stosunek większości współczesnych społeczeństw do sprawy sztucznych poronień, musimy powiedzieć, że jest on przede wszystkim nieszczerzy”. Nieszczerłość ta odbija się poniekąd i na stanowisku lekarzy.



Na ilustracji międzywojenny radziecki plakat mający zniechęcić do przeprowadzania aborcji poza szpitalami (źródło: domena publiczna).

Nie może być inaczej. Lekarz, który chce być posłuszny ustawie i swojej lekarskiej przysiędze, musi być nieubłagany. Odmawia wręcz nieszczęsnej kobiecie, która błaga go o ratunek, odmawia biednej porzuconej dziewczynie lub ślubnej zbiedzzonej matce kilkorga dzieci, niezdolnej udźwignąć jeszcze jednej ciąży. Lekarz odmawia; – gdzie ona pójdzie ze swoim kłopotem – do Wisły czy do „baby”, – to nie jego rzecz. Często wraca w ręce lekarza, ale przywieziona w ciężkim stanie do kliniki, lub wraca w jego ręce – na stole sekcyjnym. To też znamienne jest, że ten, który z zawodu swego ma sposobność spotkać się z temi konsekwencjami „nieprzejednania” lekarzy, warszawski profesor medycyny sądowej, stanowczo wypowiada się za zniesieniem morderczego paragrafu i wogóle *karalności*.

Przytoczę tutaj wymowne zestawienie, jakie ogłosił świeżo w *Zentralblatt für Gynäkologie* dr. Rodecurt z Hamburga. Ginekolog ten zadał sobie trud, aby skontrolować losy pewnej ilości kobiet, które zgłosiły się do niego z prośbą o przerwanie ciąży,

a którym on, zgodnie z obowiązującym prawem, pomocy lekarskiej odmówił. Wynik brzmi przerażająco. Oto, na 35 oddalonych przez lekarza kobiet, *nie donosiła dziecka* ani jedna; wszystkie natomiast pozbyły się płodu własnym przemysłem. *Trzy kobiety przyplaciły to śmiercią*, co wynosi niemal 10% ogólnej cyfry. *W sześciu wypadkach przyszło do ciężkich operacji* (laparotomji), spowodowanych pokątnymi zabiegami.

Straszliwa ta statystyka powinna dać do myślenia tym naszym mądralom, który się wydaje, że rygorami kodeksu karnego można robić *politykę populacyjną*. Ani jednego urodzonego dziecka, śmierć lub ciężka choroba niemal trzeciej części matek, nie licząc innych schorzeń, taki jest ostateczny bilans tej „polityki”.

Czasem – właśnie jedna z matek zwierza mi listownie taki wypadek – lekarz, tknięty współczuciem, mówi: „Ja tego zrobić nie mogę, ale niech pani idzie do akuszerki, a jak się zaczną krwotoki, niech pani mnie wezwie, albo niech pani jedzie na klinikę”. I ten sam lekarz udziela – wów-

czas z czystym sumieniem – pomocy, o ileż w gorszych warunkach! Znowu hołd obłudzie społecznej – ale jakim kosztem?

Katońska surowość pewnych lekarzy ma swoją mniej sympatyczną stronę. Jak każde *nieprzejednanie* mówiliśmy o tem w dyskusji „rozwodowej” – tak i ta rzecz ma swoje *konsystorskie dziewice*. Nie dla wszystkich jest medycyna tak nieubłagana; istnieją sposoby obejścia jej skrupułów. Skoro inny lekarz – czy dwóch lekarzy – znają jakieś – bodaj fikcyjne – wskazanie lekarskie do przerwania ciąży, wówczas specjalista może go dokonać z czystym sumieniem. Rozłożona niejako „na cztery ręce”, rzecz staje się o wiele mniej drażliwa. Ale furtka ta zachowania jest wyłącznie dla klas uprzywilejowanych. Stąd znowu paradoks: im kobieta, dzięki swemu położeniu, łatwiej mogłaby urodzić i wychować dziecko, tem łatwiej jej się postarać o przerwanie ciąży; na te natomiast kobiety, które rzeczywiście są w położeniu przymusowem i tragicznem, spada nieubłaganym ciężarem surowość etyki lekarskiej. I to – powtarzam – ostudza nasze dla tej etyki uznanie.

Mam przed sobą przejmujący w swojej nagiej prawdzie list biednej pracownicy, mężatki, matki czworga dzieci, które stara się jak najlepiej wychować, ale piątego urodzić już nie czuła się na siłach, ani też nie widziała możliwości wychowania go. Z zaświadczeniem dwóch lekarzy udaje się do kliniki; świadectwo opiewa, że „wskazane jest przerwanie ciąży z powodu wady serca, ogólnego wyczerpania i anemji”. Idzie na klinikę, kliniczni lekarze obserwują ją dwa dni i – oświadczają, że może rodzić... Nie jest do pomyślenia, aby z takim świadectwem – a nawet bez niego – kobieta z klasy uprzywilejowanych nie znalazła pomocy lekarskiej dla przerwania ciąży. Gdy się ma tę świadomość, wówczas ta nad-sumienność lekarska, w tym wypadku ponad wszelki obowiązek, wydaje się dość wstrętą. Bo, gdyby nawet ta robotnica nie był chora, tylko poprostu wycieńczona

i biedna, zachodziłoby tutaj typowe wskazanie społeczne do uwolnienia jej od niepożądanego ciąży. Te wskazania społeczne coraz bardziej wdzierają się nawet w najmniej dostępne pozazawodowemu myśleniu ciała lekarskie. Gdy *prawo wyższej konieczności* (tak jak je świeżo jeszcze pojmował projekt naszego kodeksu) dotyczyło tylko wskazań lekarskich, obecnie wszyscy zaczynają rozumieć, jak formalistyczne i nieludzkie jest to zasklepienie się. Zaczyna się już potocznie – w teorii na razie – operować nowymi pojęciami, jak *wskazania prawne* i *wskazania społeczne*.

Wskazania prawne, to przedewszystkiem *gwałt*. Kodyfikatorzy zaczynają czuć niemoralność tego, aby osoba, która niewinnie padła pastwą zbrodni, musiała następstwa tej zbrodni ponosić. Wyłoniła się ta kwestja zwłaszcza w czasie wojny, wobec częstych wypadków gwałtu przez nieprzyjacielskich żołnierzy. Jak barbarzyńsko-formalistyczny był dawniejszy – i dotychczas obowiązujący – sposób patrzenia, niech świadczy wypadek, który zdarzył się w Niemczech w r. 1924, cytowany przez prof. Glasara (*Kilka uwag o spędzaniu płodu*). Oto sprawozdanie lekarza okręgowego i sądowego: „Dziesięcioletnia dziewczynka, nadużyta płciowo przez swego ojczyrna, zaszła w ciążę. Zarówno lekarz właściwego szpitala jak i kierownictwo uniwersyteckiej kliniki kobiecej odmówili pomocy, powołując się na par. 218 niemieckiej ustawy karnej. Również odniesienie się do ministerjum sprawiedliwości pozostało bez skutku. Dziecko musiało płód donosić”. Cytują i inny wypadek, gdy dziecko, mniej więcej w tym samym wieku, zapłodnione przez własnego ojca, gdy mu odmówiono przerwania ciąży, skończyło samobójstwem! Dodajmy, że dziecko urodzone przez takie dziecko niezdolne jest do życia i rychło umiera; cała więc męczarnia jest „społecznie” daremna!

To są wskazania prawne, które dyskutuje się obecnie wszędzie, ale dla których do-

tańd nie widzimy miejsca w projekcie naszej Komisji kodyfikacyjnej. A cóż dopiero wskazania społeczne! Tę drażliwą kwestję każdy chce zepchnąć na drugiego. Prawnik myśli tak: niech lekarz znajdzie jakąś chorobę, to zawsze można pod jej płaszczkiem przemycić wskazania społeczne do przerwania ciąży. Owszem, lekarz znajdzie, ale wtedy kiedy zajdzie w ciążę panna hrabianka lub kiedy nie chce się dziecka pani bankierowej; ale jak widzimy, nawet rzetelne świadectwo dwóch lekarzy nie wystarczy biednej wyrobnicy, aby skłonić bezduszną i ciasną „etykę lekarską” do wykonania zabiegu, za którym w danym wypadku przemawia ludzkość i sumienie społeczne.

Są coprawda lekarze, którzy we własnym sumieniu znajdują wskazówki postępowania. „Kiedy widzę prawdziwą życiową konieczność, nieszczęście, wówczas nie waham się udzielić pomocy, ale czynię to bezpłatnie; ze złamania niedorzecznego i nieludzkiego prawa nie chcę czerpać zysku”, powiedział mi wręcz jeden z takich lekarzy. Na ogół jednak, tego aby sami lekarze chcieli wziąć na siebie tę decyzję, tego, zdaje się, nie można się spodziewać. Już wskazania lekarskie zaledwie są przemycane w kodeksie elastycznym określeniem *prawa wyższej konieczności*, przyczem nigdy lekarz nie ma pewności, czy nie będzie włączony po sądach. Co do *wskazań społecznych* odpowiada tedy stanowczo: „To nie moja rzecz”. Wprawdzie w szeregu odczytów urządzanych w r. 1928 przez warszawskie towarzystwo ginekologiczne znajdujemy piękny referat dr. Zofji Garlickiej *Wskazania społeczne przerwania ciąży*, ale w dyskusji, jaka się na ten temat wywiązała, zapadła uchwała taka:

Warszawskie Tow. ginekologiczne wyraża zapatrywanie, że ustalanie wskazań społecznych do przerwania ciąży nie należy do zadań zrzeseń naukowo-lekarskich. Jednakże warszawskie Tow. ginekologiczne uważa za konieczne, aby sfery kompetentne w możliwie krótkim czasie sprawę tę uregulowały.

Tem wyraźniej zaznaczyłaby się kwestja: „Do kogo to należy?” – gdyby – po odpowiedniej reformie kodeksu – chodziło o rozstrzygnięcie poszczególnych wypadków. Światlejsi lekarze rozumieją oczywiście znaczenie wskazań społecznych, które w niczem nie są mniej ważne od lekarskich; ale odpowiadają: „My nie jesteśmy powołani aby to rozstrzygać; przekracza to nasz obowiązek, naszą kompetencję i nasze środki do ustalenia prawdy. Niech to rozstrzyga sędzia”. Inni (dr. Altkauffer) proponują stworzone umyślnie komisje, składające się z „sędziów, jako przedstawicieli sprawiedliwości i sumienia społeczeństwa, z przedstawicieli instytucji w rodzaju *Ochrony nad matkami i dziećmi* i ze znanych społeczników (pożądany w komisjach jak najliczniejszy udział kobiet)”. To jest projekt d-ra Altkauffera, sformułowany na posiedzeniu warszawskiego Tow. ginekologicznego.

Komisja! Zapewne, pięknie to wygląda na papierze, ale wyobraźmy sobie tego rodzaju zbiorowe ciało, mające rozstrzygać sprawy drażliwe, wymagające tajemnicy i szybkiej decyzji! Wyobraźmy sobie kobietę, która byłaby zmuszona przed taką komisją, złożoną z sędziów, społeczników i kobiet, odsłaniać swoje najtajniejsze niedole! Komisja, przypuśćmy, jej racji nie uzna, a to co chciała właśnie utaić, stanie się publiczną tajemnicą. Aby takie komisje mogły funkcjonować, musiałyby się bardzo zmienić psychika społeczeństwa. A co będzie z temi, których komisja nie uzna: czy wrócą do domu i będą czekały rozwiązania? Nie ludźmy się: pojdą do akuszerki, albo same będą próbowały wszelkich możliwych i niemożliwych środków. Więc co właściwie się wygra? Zapewne coś; to, że znaczny odsetek kobiet, które dziś ronią pokątnie, mógłby przejść ten zabieg w pomysłnych warunkach³. I to, że uczyni się

³ Dane statystyczne uzyskane w tej mierze w Rosji Sowieckiej są bardzo pouczające.



W biednych rodzinach każde kolejne dziecko mogło już oznaczać różnicę pomiędzy głęboką nędzą a śmiercią z głodu (źródło: domena publiczna).

wyłom w istniejącym fałszu, że rzecz wyjdzie z martwego punktu. Zawsze to krok naprzód; jeżeli niepodobna zwalić wręcz morderczego paragrafu, niechby były komisje, pokaże się jaki dadzą rezultat.

Tak więc, w ostatnim czasie, zagadnienie narzuca się wszędzie; zmusza nawet lekarzy, aby wyszli ze swego ciasnego zawodowego stanowiska. Od sekretarza Naczelnej Izby Lekarskiej, d-ra Mozołowskiego, dowiedziałem się, że ta Naczelna Izba, która rok temu oddaliła wogóle tę kwestję jako nie należącą do jej sfery działania, obecnie zamierza przystąpić do jej rozpatrzenia⁴.

Na jedno niebezpieczeństwa trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę. W ostatnim czasie, kiedy w Komisji kodyfikacyjnej powiał wiatr *seksualnego liberalizmu*, wysunął się projekt, aby zwolnić od odpowiedzialności karnej matkę, zawiesić natomiast nadal miecz prawa nad tymi, którzy jej do przerwania ciąży pomagają. Miałyby to ten skutek, że lekarz byłby podwójnie narażony. Obecnie, wspólność przestępstwa tworzy niejaką solidarność: w razie zapewnionej bezkarności matki, zawsze lekarz znajdowałby się pod grozą szantażu lub rekrymi-

nacji kobiety, której pomógł w niedoli. Tem bardziej lekarze wzdragaliby się dokonywać tego zabiegu, tem bardziej więc srożyłoby się pokątne partactwo. Usunięcie z kodeksu karalności matki, bez odpowiednich reform w innych punktach, byłoby dla kobiet zdobyczą czysto teoretyczną – bo i tak u nas się ich za to prawie nigdy nie karze – a mogłoby ogromnie pogorszyć higieniczną stronę tego *występku*.

Widzimy już z tego pobieżnego szkicu, jakimi trudnościami najeżona jest cała kwestja. I niech czytelnik sobie nie wyobraża, że ktokolwiek walczy z *zapalem w obronie przerywania ciąży*. Wręcz przeciwnie; wszyscy uważają to za ostateczność, która powinnaby jak najrychlej zniknąć z życia społecznego. Zamiast przerywać i zabijać życie, powinnyby się stworzyć warunki, w których matka mogłaby z radością dziecko urodzić. A tam, gdzie to niemożliwe, tam, zamiast przerywać ciążę, powinnyby się nie dopuszczać do niej. I o tym interesującym ruchu, który pod mianem *neomaltuzjanizmu* – jawnie lub tajnie, głośno lub milcząco, zależnie od warunków i możliwości – szerzy się w różnych krajach.(...) □

⁴ W następstwie, Naczelna Izba Lekarska powołała w tym celu osobną komisję; zaszczycono mnie zaproszeniem do wejścia w jej skład, i... od tego czasu więcej o niej nie słyszałem!

Ze zbioru: Boy-Mędzrec,
DZIEWICE KONSYSTORSKIE,
wyd. Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929

PIOTR AUGUSTYNEK

ZEGARMISTRZ Z MŁOTKIEM

Lilka, wiesz, te lektury są do d...y – z „tramwajowego” zamyślenia wyrwał mnie głos nastolatki. Bez skrępowania recenzowała zawartość aktualnie obowiązującego kanonu lektur.

Nie zdążyłem usłyszeć uzasadnienia, dlaczego młodociana pasażerka MPK lokowała lektury szkolne w tak mało zaszczytnym miejscu. Opinia niejakej Lilki też pozostała dla mnie nieznana.

Myślałem, że już nie będę musiał wyrażać opinii na temat lektur, że już wszyscy wszyscy w tej materii powiedzieli. A jednak...

Jednak nie można pominąć milczeniem tego, co nasi dzielni sternicy narodowej edukacji z zapalem wyczyniają. Mechanizm doboru poszczególnych tytułów, wymyślono bardzo pokrętnie, a zarazem prymitywna argumentacja i myśl przewodnia doboru tekstów po prostu porażają. Otóż zdaniem Pana Ministra i jego dzielnych zuchołów wystarczy użyć paru martwych bogoojczyźnianych frazesów, podlać to bliżej nieokreślonym sosem troski o myślenie humanistyczne – i gotowe. Nic z tego. To już było stosowane w PRL. Kanon lektur był tylko odmienny, ale napakowany ideologią, bo zawsze (niestety) tak jest, że oświatą i wychowaniem rządzą osobnicy nadający się do tego, jak słoń do jazdy figurowej na łyżwach.

Ci, którzy wymyślają programy szkolnej nauki o literaturze, działają w oparach absurdu, niewiedzy, pomieszania pojęć.

Ale są pełni zapалу.

Biednym (?) urzędnikom z budynku przy al. Szucha w Warszawie myślą się skutki z przyczynami i solidny program z krótkowzrocznymi działaniami o podłożu ideologicznym.

Czy tak trudno zrozumieć, że kanon lektur nie może być narzędziem indoktrynacji dokonywanej „pod konkretne zamówienie” polityczne kilku starszych panów, których zdolności pojmowania rzeczywistości zanikły mniej więcej na przełomie XIX i XX wieku?

Czy tak trudno zrozumieć, że osobiste przekonania religijne i polityczne decydentów nie mogą wpływać na kształt szkolnej humanistyki? Przecież lektury mają mieć wpływ na PONADCZASOWE i PONADPOLITYCZNE postawy młodego pokolenia.

Wiem doskonale, szkoła sama w sobie (pomimo wielu prób zaklinania rzeczywistości) opiera się (zasadza się wręcz) na wymaganiach, kontroli, ocenach; słowem – jest machiną przymusu. Od zarania dziejów znamy to zjawisko, że szkoła stosowała przymus, a wiele jednostek wybitnych, próbujących myśleć samodzielnie, buntowało się przeciw takiej rzeczywistości. I to ci buntownicy, niepokorni, nieschematyczni tworzyli postęp, a nie pokorni urzędnicy, układający programy szkolne już od chwili powstania skostniałe i cuchnące naftaliną.

Co zatem z tworzeniem listy tekstów literackich przeznaczonych dla uczniów na różnych poziomach edukacji?

Na pewno należy wystrzegać się jakichkolwiek form ukrytej lub jawnej indoktrynacji. Uczniowska brać jest wyjątkowo wyczulona na takie działania i czytać nie będzie. Próba stosowania nachalnej agitacji, wtłaczania w uczniowskie głowy jedynie słusznej ideologii zawsze kończy się porażką. Dobrze byłoby odświeżyć sobie wspomnienia z czasów coraz bardziej minio-

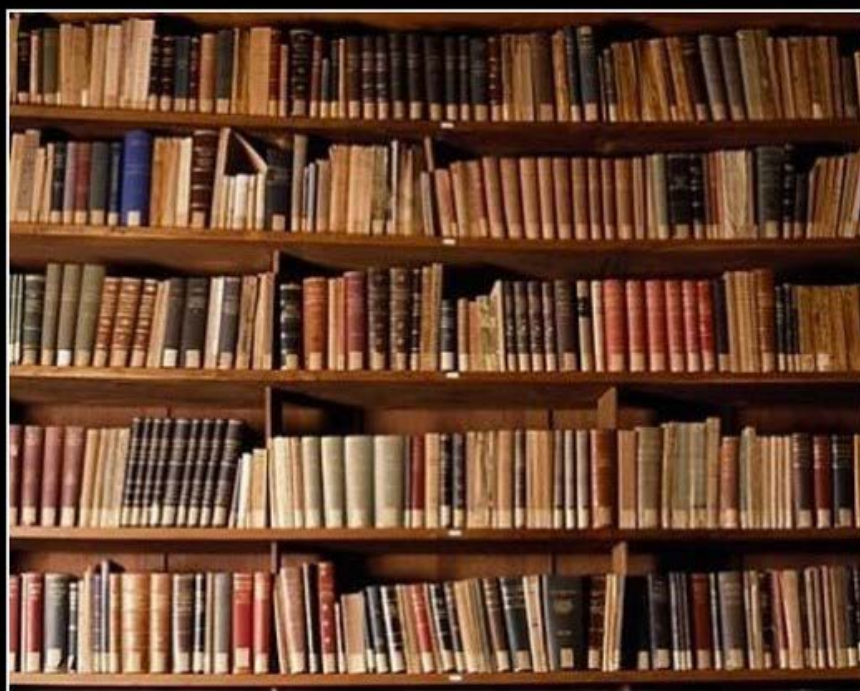
nych. Pamiętam dowcip krążący po całym kraju:

„Temat dzisiejszego wypracowania: Napisz, jaki jest twój ulubiony bohater literacki i uzasadnij, dlaczego jest to W. I. Lenin.”

Wystarczy zmienić tylko personalia ulubionego bohatera, nieprawdaż?

Mój ulubiony minister chce zostać (z wiadomego polecenia) władcą dusz

uczniowskich. To dziedzina delikatna, subtelna, wymagająca psychologicznej precyzji, a przede wszystkim wielkiej wiedzy i nie mniejszych umiejętności. Nasz pan Minister zachowuje się tak jak szaleniec, chcący naprawić szwajcarski zegarek przy pomocy zwykłego młotka. Wiemy, jakie to będzie miało skutki. Tylko: co są winni biedni uczniowie? □



Żadna lektura szkolna

nie nauczy cię tyle, co książka przeczytana z własnej woli.

www.demotywatory.pl

PIOTR SZYDŁOWSKI

GDZIE JEST NIEBO?

Spotkałem pewnego razu kleryka, tj. studenta katolickiego Wyższego Seminarium Duchownego w Polsce. W rozmowie poruszyliśmy problem lokalizacji po chrześcijańsku pojmowanego nieba.

Kleryk ten opowiedział mi, jak na wykładzie teologii dogmatycznej jeden ze słuchaczy zapytał profesora, gdzie jest, to znaczy, gdzie znajduje się owo niebo, o którym pisze św. Paweł w I Liście do Koryntian. W rozdz. II, wierszu 9, pisze on bowiem, że „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło to, co Bóg zgotował tym, którzy go miłują”.

W sali zapadła specyficzna cisza. Kleryk pytał, czy „niebo” to jest jakaś niezidentyfikowana przestrzeń kosmiczna, czy... Profesor po dłuższej chwili milczenia wyjaśnił, że jest zlokalizowane w określonym miejscu kosmosu. Piekło również, dodał profesor. Ale gdzie ono się znajduje, profesor nie potrafił wyjaśnić. Lokalizacji „nieba” ani „piekła” w księgach świętych nie ma. Pozostają domysły...

Spójrzmy więc na najnowsze osiągnięcia badaczy kosmosu. Co nam o kosmosie mówią astronomowie wyposażeni w najno-

wocześniejsze teleskopy badające kosmiczne przestworza? O czym informuje nas krążący od roku 1990 w przestrzeni kosmicznej teleskop Hubble’a, umieszczony na wysokości 540 km od Ziemi? Ma on zwierciadło o średnicy 2,4 metra oraz trzy czujniki kierujące automatycznie układ optyczny na wybrany punkt przestrzeni pozaziemskiej.

Dzięki przesyłanym przez teleskop zdjęciom kosmosu astronomowie szacują, że liczba galaktyk w obserwowalnym wszechświecie wynosi około dwóch bilionów. Galaktyki te skrywają w sobie około 200 (słownie: dwustu) trylionów gwiazd – to więcej niż liczba ziaren piasku na wszystkich plażach naszej planety Ziemi.

A każda galaktyka zawiera w sobie miliardy ciał niebieskich! Na którym z nich znajduje się NIEBO, a na którym PIEKŁO? No i jak się tam „idzie”? Źródła biblijne o tym milczą. A szkoda... □

Powyższą informację o ilości obserwowalnych ciał niebieskich zaczerpnąłem z dwumiesięcznika ŚWIAT WIEDZY, nr 3/2021, s. 57.



HEKSAEMERON

Heksaemeron, to wyraz ze starożytnej greki i oznacza „sześć dni” (dzieło sześciu dni stwarzania). W egzegezie biblijnej to nazwa opowieści, zawartej w Księdze Rodzaju (cały rozdz. 1 i 4 wiersze rozdziału drugiego). A siódmego dnia Bóg zmęczony pracą odpoczął. Egzegeci katolicycy wyjaśniają, że biblijny opis stworzenia świata jest poematem, a nie kroniką historycznych wydarzeń. To tylko autor tekstu nadał mu postać historii, sam bowiem autor nie był obecny przy stwarzaniu świata. Cała Biblia według nich jest specyficznym gatunkiem literackim, ale nie opisuje faktycznego sposobu stwarzania świata i człowieka i jej opis nie ma nic wspólnego z poglądami na powstanie wszechświata, prezentowanymi przez współczesnych badaczy – fizyków i kosmologów. Poglądy te możemy poznać z wielu publikacji, jak choćby: Lawrence M. Krauss, *Dlaczego istnieje raczej coś niż nic*, tłum. Tomasz Krzysztos, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2014, s. 216, oraz tegoż autora: *Największa przygoda ludzkości. Odkrywanie zagadki Wszechświata*, tłum. Michał Czerny i Krzysztof Rejmer, Łódź 2018, s. 407.

Piszę o tym dlatego, że swego czasu, dość dawno, wysłuchałem wykładu pewnego profesora egzegezy biblijnej na te-

mat pierwszego i drugiego rozdziału Księgi Rodzaju. Opowiadających o tym, że „gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął” (Rozdz. R 1 i 2).

Profesor ów, egzegeta (nazwiska nie pamiętam, bo było to bardzo dawno), wyjaśniał, że kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, zanim powstał Stary Testament, w społeczeństwach ówczesnych istniał dziesięciodniowy tydzień: 9 dni pracowano a, dziesiątego dnia odpoczywano. I co się okazało? Oto ówcześni przywódcy i organizatorzy życia społecznego zauważyli, że w miarę zbliżania się do końca dziewięciodniowego cyklu pracy ludzie byli coraz bardziej zmęczeni i ich praca była coraz mniej wydajna. I wówczas podjęli decyzję skrócenia pracy do sześciu dni, dzień siódmy przeznaczając na odpoczynek.

Decyzja ta była rewolucyjna, poważna i do tego stopnia skuteczna dla wydajności pracy, że nadali jej charakter boski: oto sam Bóg pracował tylko sześć dni, a siódmego dnia odpoczął. „Wtedy pobłogosławił ów siódmy dzień i uczynił go świętym, w tym bowiem dniu odpoczął od całej swej pracy, którą wykonał stwarzając” (Rdz. r. 2, w. 2). W ten sposób siedmiodniowemu tygodniowi nadano sankcję religijną, żeby nikt nie ważył się wydłużać dni pracy ze szkodą dla zdrowia i obniżenia jej wydajności. □

SPROSTOWANIE

W ostatnim numerze FMW omyłkowo przypisaliśmy autorstwo satyrycznego czterowiersza (...za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła) naszemu Patronowi – Boyowi. Tymczasem ów tekst satyryczny napisał Jerzy Paczkowski (1909–1945).

Mimo, iż Boy zapewne zaakceptowałby ów tekst – za pomyłkę przepraszamy.

Red.

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

WOLNOMULARSTWO W POLSCE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Cz. II

W okresie międzywojennym polska masoneria to nie tylko loże związane z narodową obediencją Wielką Lożą Narodową (o czym pisałem w poprzednim 89 numerze FMW), ale także loże zrzeszone w Związku Niemieckich Łóż Wolnomularskich w Polsce oraz placówki innych obrządków, jak mieszanego (zrzeszającego na równych prawach mężczyzn i kobiety) „Le Droit Humain” oraz egipskiego – Wielka Świątynia Mistyczna Polski Zakonu Wolnomularskiego Wschodniego Obrządku Dawnego i Pierwotnego Memphis-Misraim.

W odrodzonym w 1918 państwie polskim znalazło się kilkanaście niemieckich łóż wolnomularskich, działających na terenie ziem byłego zaboru pruskiego i Górnego Śląska. W Prusach masoneria działała legalnie, a największe obediencje (zw. staropruskimi) cieszyły się protektorem władz cesarstwa. Po przejęciu tych terenów przez Polskę, zostały przez swoje centrale zwolnione z podwładności; w ten sposób znalazły się w sytuacji „łóż niezależnych”, tj. niepodlegających żadnemu ośrodkowi kierownicemu. W połowie 1920 utworzyły **Związek Niemieckich Łóż Wolnomularskich w Polsce**, początkowo z siedzibą w Bydgoszczy, a potem w Poznaniu. Przewodniczącym Związku w latach 1920-1933 był Walter Theile, doktor medycyny, a od 1933 szefował mu Eduard Schleip, dyrektor banku.

Po przyłączeniu w 1922 Górnego Śląska przystąpiła do Związku loża katowicka. Ośrodkami niemieckiego wolnomularstwa

były: Poznań, Bydgoszcz, Inowrocław, Gniezno, Chojnice, Ostrów, Grudziądz, Tczew, Leszno, Starogard, Chełmno, Toruń, Rawicz, Krotoszyn, Brodnica i wspomniane Katowice. Początkowo skupiały ponad 1200 członków, z czasem ich liczba spadła do ok. 500. Charakterystycznym był tutaj dosyć zaawansowany wiek członków (powyżej 50 lat) oraz grupa społeczna, do której w większości należała: zamożna burżuazja (przemysłowcy, bankowcy, kupcy). Do bardziej znanych aktywistów możemy zaliczyć takie osoby, jak Hermann Rausching (1887-1982), który w późniejszym okresie zostanie prezydentem Senatu Wolnego Miasta Gdańska (1933-1934), a następnie zerwie z hitleryzmem i uda się na emigrację, by go publicznie piętnować i demaskować, oraz Kurt Graebe (1874-1952), poseł na Sejm RP I, II i III kadencji (1922-1935).

Loże swój status prawny opierały na przepisach państwa pruskiego, zapisach traktatowych o ochronie mniejszości niemieckiej w Polsce i na ustawie o stowarzyszeniach z 1932 r. Dlatego pod względem prawnym znajdowały się w lepszej sytuacji niż polskie wolnomularstwo, które działało w sposób niejawni. Pozwoliło to m.in. niemieckim placówkom na nabywanie majątku trwałego, głównie budynków, które stały się ich siedzibami (na marginesie: to właśnie po tych łóżach mamy obecnie w Polsce najwięcej zachowanych obiektów architektonicznych związanych z wolnomularstwem).

Prawno-administracyjny status nie rozwiązywał jednak ich sytuacji z punktu widzenia norm wolnomularskich. Usankcjonowane i stosowane zasady zakładały, że każda loża musi być afiliowana do Wielkiej Loży, od której dostaje swój patent erekcyjny; inaczej będzie traktowana jako „nieregularna” – rebeliancka. Druga zasada nadaje Wielkiej Loży na terenie państwa, w którym działa, prawo wyłączności do zakładania na swoim terytorium loż oraz ich podporządkowania swojej jurysdykcji. Zgodnie z tymi normami niemieckie loże winny podporządkować się polskiej narodowej obediencji lub starać się o utworzenie własnej Niemieckiej Loży w Polsce. Nie uczyniły ani jednego ani drugiego, tworząc pośrednią strukturę czyli właśnie Związek.

Z czasem ich działalność zaczęła maleć, członkowie wykruszać się a loże zaprzestały funkcjonowania, niektóre ulegały samolikwidacji, a niektóre przekształcały się w niemasońskie stowarzyszenia mniejszości niemieckiej. Regres niemieckiego wolnomularstwa zaczął się jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy i skasowaniem loż na terenie Rzeszy w 1934 roku. Praktycznie w 1938 roku, kiedy wszedł w życie dekret Mościckiego, to dotknął bezpośrednio zaledwie kilka loż, przynajmniej formalnie jeszcze istniejących.

W połowie lat 20-tych XX w. pojawił się w Polsce obrządek wolnomularski powiązany z **Międzynarodowym Zakonem Wolnomularstwa Mieszanego „Prawo Człowieka”** (po francusku „Le Droit Humain”, a po angielsku „Human Duty”). Zakon założyli w 1893 roku we Francji Maria Deraismes (1828-1894), wolnomysłicielka, emancypantka, założycielka Towarzystwa Poprawy Losu Kobiety, oraz Georges Martin (1850-1914), lekarz, społecznik, uczestnik ruchów postępowych i wyzwoleniczych (m.in. żołnierz Garibaldi). Ta dwójka to pionierzy równouprawnienia kobiet i mężczyzn na gruncie „sztuki królewskiej”. Obediencja stała się międzynarodową in-



Michał Karaszewicz-Tokarzewski

stytucją inicjacyjną, filozoficzną i filantropijną, składającą się z narodowych federacji z centralą w Paryżu.

Na grunt polski obrządek przeszczepili Wanda Dynowska (1888-1971), współzałożycielka, a od 1923 sekretarz generalna Polskiego Towarzystwa Teozoficznego oraz gen. Michał Karaszewicz – Tokarzewski (1893-1964), członek wileńskiej loży „Tomasz Zan”, a na początku II wojny światowej twórca i pierwszy dowódca organizacji konspiracyjnej Służba Zwycięstwa Polski, prekursorki Armii Krajowej.

Wanda Dynowska, wychowana w majątku rodziców na Łotwie, dzięki matce wyniosła z domu potrzebę pomagania ludziom. Studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim i w Lozannie. Spotkania z teozofami zapoczątkowała myśl o stworzeniu w niepodległej Polsce oddziału Towarzystwa Teozoficznego. Dzięki Towarzystwu zaprzyjaźniła się z osobami, które udzielały się również w ruchu wolnomularskim. Poznała Annie Besant (1847- 1933), prezydentkę Wszechświatowego Towarzystwa



Janusz Korczak

Teozoficznego, ale i zarazem prezydentką Federacji Brytyjskiej „Le Droit Humain”. Została przyjęta razem z innym polskim teozofem, Tadeuszem Bibro, do Zakonu w Londynie.

Po przyjeździe do Polski Wanda Dynowska, Tadeusz Bibro i generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski założyli Trójkąt w Warszawie. W ciągu kilku miesięcy grono osób na tyle się powiększyło, że Trójkąt przekształcono w 1926 w **Lożę „Orzeł Biały”**. Wchodziła ona w skład Federacji Brytyjskiej. Loża zajmowała się głównie studiowaniem materiałów z zakresu historii wolnomularstwa, badaniem rytów, historią okultyzmu, nauką rytuału.

Przez kilka kadencji Bratem Czcigodnym „**Św. Graala**”, drugiej loży tego obrządku, był gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Ponieważ Wielka Loża Narodowa nie uznawała mieszanego Zakonu, generał opuścił WLN i zaangażował się w rozwijanie mieszanego zakonu wolnomularskiego. Zachował jednak posiadany stopień zakonny i był do nowej loży afiliowany. „**Św. Graal**” interesował się przeważnie sprawami społecznymi.

W tym samym czasie powstała w Krakowie loża „**Góra Wawel**”. Należały do niej osoby z krakowskiego Polskiego Towa-

rzystwa Teozoficznego, pracownicy wolnych zawodów i urzędnicy. W Wilnie założono lożę „**Orla i Pogoni**”. Omawiano w niej przede wszystkim sprawy nauki i stosunków polsko-litewskich. W Katowicach powstała loża „**Pokój**”. Loża składająca się przede wszystkim z wojskowych to warszawska loża „**Św. Michała Archanioła**”. Gdy powstała z inicjatywy nauczycieli i urzędników kolejna loża, pod nazwą „**Radosna Przyszłość**”, rozpoczęto prace nad zorganizowaniem polskiej federacji rytu. W rezultacie w połowie 1930 mieszane loże polskie ukonstytuowały się w **Jurysdykcję Polską**, autonomiczną strukturę w obrębie Federacji Brytyjskiej, by następnie w 1933 usamodzielnic się tworząc **Federację Polską**, na czele której stanął Władysław Boleński (1902-1997) – cywilny pracownik Ministerstwa Spraw Wojskowych i Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, działacz Polskiego Towarzystwa Teozoficznego).

Do zakonu należało ok. 300 osób wywodzących się głównie z inteligencji i to raczej tej szarej – urzędniczej. Znacznie mniej wśród tego grona można było spotkać głośniejszych nazwisk. Wśród tych bardziej znanych, oprócz Dynowskiej i Karaszewicza-Tokarzewskiego, który był także kapłanem (od 1926) Liberalnego Kościoła Katolickiego (utworzonego w 1916 przez secesjonistów z Kościoła Starokatolickiego na Wyspach Brytyjskich) można wymienić gen. Kordiana Zamorskiego (1890-1983) – od lutego 1935 komendanta głównego Policji Państwowej, który, podobnie jak Karaszewicz-Tokarzewski, przeszedł do Droit Humain z WLN, Janusza Korczaka (1878-1942) – znanego pedagoga i pisarza, Wandę Gertz (1896-1958 – taką Emilią Plater Legionów, w których służyła, przebrana za mężczyznę w latach 1915-1916, a później współorganizowała i była instruktorką Przynależności Wojskowego Kobiet, czy Romana Bogdaniego (1879-1940) – krakowskiego prawnika, dyrektora tamtej-

szej Komunalnej Kasy Oszczędności (1931-1935), posła z ramienia BBWR (1930-1935).

Jeszcze w II połowie lat 20 XX w. adepci polskich placówek obrządku mieszane-
go oraz członkowie Polskiego Towarzystwa Teozoficznego (wielu należało jednocześnie do obydwu organizacji) utworzyło Spółdzielnię Przyjaciół Uroczyska Mężenin na terenie gminy Sarnaki nad Bugiem (obecnie gm. Platerów w pow. łosickim w woj. mazowieckim). Spółdzielnia zakupiła dla prowadzenia kolonii letnich tamtejszy dwór. W nim corocznie w czerwcu odbywały się zjazdy wszystkich polskich placówek Droit Humain, na których omawiano wspólne sprawy tych warsztatów, słuchano referatów na tematy ideowe i organizacyjne, oraz podejmowano wiążące dla obrządku decyzje.

Polska Jurysdykcja prowadziła, tak jak inne organizacje wolnomularskie, działalność charytatywną; opiekowała się m.in. Zakładem Wychowawczym „Nasz Dom” (w Pruszkowie, a od 1928 w Warszawie na Bielanych). Wśród jego założycieli był Janusz Korczak oraz teozofka i członkini Loży” Orzeł Biały”, działaczka społeczna Maria Podwysocka (1887-1976).

Obrządek mieszany, najprawdopodobniej dlatego, że wśród jego aktywistów nie było wybitniejszych postaci życia publicznego, długo uchodził uwadze kół antymasońskich. Dopiero mniej więcej w II połowie 1937 zaczęły się ukazywać o nim informacje w prasie, oczywiście natury nieprzychylniej.

Kiedy w 1938 nagonka antymasońska sięgnęła zenitu i, podobnie jak do WLN, do Droit Humain zaczęły dochodzić informacje o tym, że władze państwowe zamierzają wydać dekret o likwidacji masonerii, kierownictwo polskiej federacji podjęło w październiku 1938 roku uchwałę o samolikwidacji Zakonu.

Ostatnim obrządkiem wolnomularskim, który zaistniał w międzywojennej Polsce, był Memphis-Misraim. To jeden z mistycz-



Wanda Dynowska

no-ezoterycznych obrządków, mocno osadzony w gnostycyzmie, kabale, hermetyzmie i okultyzmie, powstały z połączenia w 1899 Memphis, utworzonego w Egipcie ok. 1815, rozpowszechnionego w Europie, głównie Francji po 1838, tam w 1841 zakazanego, a po rewolucji lutowej 1848 wznowionego, oraz Misraim, powstałego w 1805 we Włoszech, po 1814 przeniesionego do Francji. Jedną z jego charakterystycznych cech było to, iż posiadał aż 95 stopni wtajemniczenia, w odróżnieniu od tradycyjnej 33 stopniowej masonerii.

Pod koniec 1934 centrala francuska tego rytu – Suwerenne Sanktuarium w Lyonie – mianowała przedstawicielem na Polskę Jana Czarnomskiego (1912-1944), z wykształcenia historyka, uważającego się również za ucznia i kontynuatora znanego ówczesnie okultysty i parapsychologa Czesława Czyńskiego (1858-1932). W 1935, skupiwszy wokół siebie grupkę rozmaitego autoramentu okultystów i hermetyków, powołał on do życia w Warszawie Wielką Świątynię Mistyczną Polski Zakonu Wolnomularskiego Wschodniego Obrządku Dawnego i Pierwotnego Memphis-Misraim, zostając jej Wielkim Mistrzem.



Fartuch wolnomularza

W ciągu następných dwu lat powstała ponadto kapituła „Pelikan pod Jutrzenką Wschodzącą” oraz loża „Piramida Północy w Dolinie Wisły”. Wszystkie trzy podlegały lyońskiemu kierownictwu, zaś skupiły grono kilkunastoosobowe. Czarnomski usiłował nawiązać oficjalne kontakty z WLN, lecz próby te skończyły się niepowodzeniem, zgodnie z zasadą WLN nieuznawania żadnych innych struktur za masonskie, niż te które jej podlegały.

Najbliższym współpracownikiem Czarnomskiego był Borys Smysłowski-Holmston (1897-1988), carski oficer, a następnie „biały emigrant” w Polsce. Jego zasługą było to, że po ukazaniu się dekretu o rozwiązaniu zrzeszeń wolnomularskich wywiózł archiwum Świątyni Mistycznej do Francji.

W II RP działało kilka organizacji, które często bezzasadnie, ze względu na podobną do łóż wolnomularskich strukturę organizacyjną, jak również charakter działalności, uznaje się jako masonskie – to na nich głównie skupiły się działania władz

państwowych, realizujących dekret Mościckiego z listopada 1938. Były to m.in.:

– **Niezależny Zakon Synów Przymierza (Independent Order B'nai B'rith)**, organizacja założona w 1843 roku w Stanach Zjednoczonych, zaangażowana w szeroko pojmowaną działalność na rzecz wspierania społeczności żydowskiej na świecie. Pierwsza loża B'nai B'rith na obecnych ziemiach polskich powstała w 1883 roku w Katowicach, wówczas na terenie Królestwa Prus. Kolejne w Poznaniu (1885), Bielsku (1889), Krakowie (1892), Lwowie (1899) i Chorzwie (1903). Łoże te należały do dystryktu VIII, obejmującego Niemcy lub X obejmującego Austro-Węgry. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, w 1924 roku utworzono polski dystrykt XIII z siedzibą w Krakowie. W 1922 roku powstała jeszcze loża w Warszawie, a w 1926 w Łodzi. W okresie międzywojennym do organizacji należało ok. 1000 członków, skupionych w 10 łóżach.

– **Niezależny Zakon Dziwnych Towarzyszy (Independent Order of Odd Fellows – IOOF)** – wywodząca się z Anglii

dobrowolna organizacja o charakterze dobroczynnym i samopomocowym, powstała w 1819 roku. Pierwsze loże na ziemiach polskich utworzono w Poznaniu (1876) i Inowrocławiu (1879), a po ukonstytuowaniu się Wielkiej Łoży Obwodowej Śląska i Poznania (1885) powstały dalsze: w Bydgoszczy (1895), Gnieźnie (1896), Toruniu (1898), Gdańsku (1899), Pile (1899) i Grudziądzu (1901). Loże te grupowały w pierwszym rządzie Niemców i Żydów, jednak już od początku XX wieku znajdujemy wśród nich i Polaków.

Po I wojnie światowej na ziemiach polskich działało sześć łóż Odd Fellows: w Poznaniu, Inowrocławiu, Bydgoszczy, Gnieźnie, Toruniu i Grudziądzu. Po odzyskaniu niepodległości Odd Fellows podjęła wysiłki w celu oderwania się od Wielkiej Łoży Rzeszy Niemieckiej, w 1901 Suwerenna Wielka Łoża I.O.O.F. w USA wydała postanowienie, w myśl którego mieszkańcy krajów Europy Środkowej i Wschodniej mają wstępować do łóż niemieckich.

Starania te zakończyły się powołaniem w 1925 Wielkiej Łoży Polski pod jurysdykcją jednej z amerykańskich Wielkich Łóż I.O.O.F, a jej Wielkim Sire'em został Wilhelm Warschauer. Natomiast pierwszą w pełni polską lożą (składającą się w większości z Polaków i stosującą język polski) była utworzona w 1930 w Łodzi loża „Navicula” (w roku 1935 zmieniła nazwę na „Mickiewicz”). W roku 1934 powstają jeszcze loże w Warszawie i Bydgoszczy. Szacuje się iż członków Odd Fellows w Polsce było nie więcej niż 360.

– Stowarzyszenie Humanitarne „Schlaraffia” działało w Krakowie w latach 1909-1938. Za swój cel uznawało pielęgnowanie sztuki i humoru. Punktem odniesienia dla jego członków był świecki raj, miejsce sytości, pozbawione trosk i wolne od pracy. Do Stowarzyszenia należeli wyłącznie mężczyźni w dojrzałym wieku – inteligencja, artyści i przedsiębiorcy. Liczebnie domino-

wali Żydzi i Niemcy pochodzenia żydowskiego, ale należeli również Polacy.

Powszechne było również błędne przekonanie, że masońskimi ekspozyturami były takie organizacje, jak YMCA (**Young Men's Christian Association** – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej), międzynarodowa ekumeniczna organizacja której celem jest prowadzenie działalności opiekuńczej, charytatywnej, jak również edukacyjnej i wychowawczej w duchu chrześcijańskim (założona w 1844 w Londynie, w Polsce od 1919, a od 1923 funkcjonująca jako Polska YMCA) czy Rotary Club (międzynarodowe stowarzyszenie przedsiębiorców i ludzi różnych zawodów, świadczące pomoc humanitarną, założone w 1905 roku w Chicago, w Polsce od 1931 roku) oraz (co już jest całkowitą aberracją) powstałe w 1930 roku w Krakowie stowarzyszenie hobbystyczne Rycerski Zakon Bibliofilski z Kapitułą Orderu Białego Kruka.

Praktycznie po listopadzie 1938 masoneria w Polsce przestała istnieć, ale czy na pewno? O tym w następnej części. □

Do napisania tekstu posłużyły książki: Ludwika Hassa *Ambicje, rachuby, rzeczywistość. Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej 1905-1928*, Warszawa 1984; *Zasady w godzinie próby. Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej 1929-1941*, Warszawa 1987; *Masoneria Polska XX wieku. Losy, Loże, Ludzie*, Warszawa 1996; *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999, tegoż *Loże wolnomularskie i pokrewne organizacje na Zachodnich Ziemiach Rzeczypospolitej (1721-1938)*, *Studia i Materiały do dziejów Wielkopolski i Pomorza* 1974, T.XI, z. 1; Leona Chajna *Polskie wolnomularstwo 1920-1938*, Warszawa 1984; tegoż *Niemieckie Wolnomularstwo w Polsce Międzywojennej*, *Przegląd Zachodni* 1971 nr 5/6, s. 121-148; Norberta Wójtowicza *Masoneria, Mały Słownik*, Warszawa 2006; *Masoni w wielonarodowej II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2011. □

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

ROK 1917-1918 W OKOPACH NAD DŹWINĄ OSTATNIE TYGODNIE WIELKIEJ WOJNY NA WSCHODZIE

Jedną z ostatnich akcji szturmowego oddziału 88 Pietrowskiego Pułku Piechoty było uderzenie w połowie sierpnia 1917 r. na linie niemieckie nad Dźwiną. Było to koło Kokenhausen (Koknese). W tym miejscu okopy niemieckie przechodziły na północny brzeg Dźwiny; płytkie i niewykończone biegly parę kilometrów na północ, do wiaduktu toru kolei Daugavpils (Dyneburg) – Ryga. Tu skręcały pod kątem prostym i biegly na zachód.

Dnie poprzedzające akcję były ciche i spokojne; ofensywa niemiecka od Rygi na wschód tu się zatrzymała. Od czasu do czasu pociski uderzały w mury ruin potężnego zamczyska obsadzonego przez kompanię 88 pp; stał on między liniami okopów rosyjskich i niemieckich. Pociski te nie robiły większego wrażenia na grubych murach. W tym właśnie zamku poddał się Szwedom w czasie Wojny Inflanckiej arcybiskup Rygi – Wilhelm Hohenzollern. Chyba i wtedy artyleria była równie mało skuteczna. Nazwa „Kokenhausen” była mi dobrze znana z odniesionego tam zwycięstwa nad Szwedami przez hetmana Chodkiewicza.

W pobliżu tych ruin zamczyska stał w parku, schodzącym do samej Dźwiny, opuszczony, ale zupełnie niezniszczony pałacyk. Nie nadawał się na zakwaterowanie, gdyż był zbyt blisko niemieckich okopów na drugim brzegu Dźwiny. W pałacyku była duża biblioteka; spędzałem w niej wolne, samotne godziny. Pamiętam nawet,

że czytałem tam Maupassanta *Fort comme la mort* i Kiplinga – po rosyjsku – *Swiet pogas* (Światło, które zgasło). Z pałacykiem tym łączyły się także i inne wspomnienia, o których już pisałem. Spłonął na moich oczach.

Akcją dowodził kapitan Rikimczuk, z pochodzenia Rumun z Mołdawii; odważny, inteligentny i oczytany oficer. Osłonięci wiaduktem kolejowym doszliśmy o świtanie do lasu, na brzegu którego były okopy niemieckie. Zaskoczenie było pełne. Niemcy cofnęli się w głąb lasu. Rozpoczęły się tam wzajemne polowania. Nie dochodząc do Dźwiny cofnęliśmy się, obsadzając jednak zdobyte niemieckie okopy. Były tam karabiny, płaszcze, hełmy i kilka plecaków. W jednym z nich, w pugilaresie, listy i fotografia starszej kobiety. Nie wywołało to smętnych rozmyślań. Taką jest cena wojny.

Trzeba przyznać, że przeżycia wojenne w opisach, zwłaszcza powieściowych, różnią się od przeżyć i nastrojów żołnierza frontowego. Wojna przytępia uczuciowość i hartuje. Czyni żołnierza mało wrażliwym na śmierć, nawet kolegów. Działa tu świadomość własnego zagrożenia. Dzieje się tak zawsze, gdy śmierć jest masowa. Tak było np. w czasach rewolucji oraz Powstania Warszawskiego. Jest to chyba biologiczna prawidłowość.

Za akcję tę otrzymałem drugi order bojowy – Krzyż św. Jerzego z wieńcem – przyznawany przez żołnierzy (został

on wprowadzony po Rewolucji Lutowej). Prócz tego, tytułem części zdobyczy, otrzymałem hełm niemiecki, płaszcz i bagnet. Te rzeczy posłużyły nam parę miesięcy później do lekkomyślnej i niebezpiecznej zabawy (o tym w innym wspomnieniu).

Akcja nic nie znacząca pod względem taktycznym miała jednak doniosłe skutki. Niemcy zrezygnowali z ostatnio zajętych obszarów i cofnęli się za Dźwinę i na zachód. Pewnego poranka ucichły rzadkie strzały artyleryjskie i ślady bliskiej obecności nieprzyjaciela. Na naszym odcinku Niemców już nie było. Trzeba było sprawdzić, jak daleko cofnęli się na zachód na północnym brzegu rzeki. To już zadanie dla konnego plutonu naszego oddziału.

Pod dowództwem kapitana Rikimczuka pluton Kozaków i ja wyruszyliśmy o świcie. Razem było nas dwudziestu żołnierzy i dwóch oficerów. Wróciliśmy już w nocnych godzinach. W terenie wyznaczonym do sprawdzenia Niemców nie było. Kraj zupełnie pusty, ale bez śladów wojny. Schłodzone gospodarstwa na tym bezludziu wyglądały niesamowicie. W ciągu całego dnia podróży z żywych istot widzieliśmy tylko kota na ganku jednego z domów. I znów to realne poczucie, że ludzkość już nie istnieje.

Wracaliśmy nocą po torach kolejowych; ja jechałem na poboczu (było to dużym błędem) i koń wbiegł w niskie druty kolczaste. Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, jak mądrym i pełnym zaufania do człowieka jest koń. Unosiłem kolejno nogi konia i stawałem je na wolne miejsca do tyłu. Wycofaliśmy się z zasieków; obaj byliśmy pokrąwieni.

W końcu sierpnia oddział nasz przesunięto o kilka kilometrów na zachód. Nastąpiły pogodne jesienne dni. Mieszkaliśmy we trójkę: kapitan Jegorow – dowódca, sztabkapitan, Rikimczuk i ja, w opuszczonym domku zamożnego chłopca Łotysza. Żołnierze mieszkali w zabudowaniach lub namiotach. Chłopi łotewscy gospodarzyli dobrze, byli zamożni. Prowadzili gospodar-



Aleksander Kiereński

stwa mleczne. Mleczarnie ich były znane w całej Rosji; nosiły nazwę *Kurlandskije Molocznyje*.

Otóż ci zapobiegliwi gospodarze przed wiosenną ofensywą niemiecką zasiali ogrody warzywne; ale uciekając na wschód opuścili zagrody i pola. Wczesną jesienią była więc wielka obfitość jarzyn i nawet trochę owoców w sadach. Żołnierze nie pozwolili zmarnować się owocom; natomiast rzepa, kalarepa, rzodkiew i w ogóle jarzyny szczęśliwie doczekały jesieni. Były wielkim urozmaiceniem naszych śniadań i kolacji.

Poza grą w karty, zresztą rzadko uprawianą, gdyż ja nie grałem, uprawialiśmy namiętnie piłkę nożną; miejsca było dosyć. Żołnierze technicznie byli bardzo słabi, ale grali zawzięcie, nie żałując własnych i cudzych nóg. Ja dość często chodziłem w pogodne dni na samotne dalekie spacery, najczęściej z książką. Głucha cisza i pustka.

Po pewnym czasie do pustych domów zaczęli wracać gospodarze. Kraj się ożywił. Wrócił i nasz gospodarz; stosunki ułożyły się bardzo dobrze. Do jednego z folwarków wrócił gospodarz z rodziną. Córka jego uczyła się w Rydze i przed zajęciem miasta przez Niemców mieszkała tam. Chodziliśmy do niej dość często na flirty; miała swój pokój. Była miła i inteligentna.



Krajobraz nad Dźwiną

Pewnego dnia wszedłem do jej pokoju i ujrzałem jakąś dziwną sytuację. Jeden z pułkowych oficerów leżał na tapczanie twarzą w dół. Koło niego stał ordynans i coś trzymał w rękach. Oficer machnął na mnie ręką. Zorientowałem się w sytuacji. Ordynans trzymał nogi naszej dziewczyny. Co zrobić? Rzucić się z pomocą dziewczynie było za późno. Samo moje wejście przerwało napaść. Nie warto było powiększać jej wstydu. Z tego też powodu nie skierowałem sprawy do pułkownika. Wszedłem. Odbył się akt okrutny i tak ludzki jak wojna i śmierć.

Po pogodnej jesieni nastąpiły wczesne mrozy. Wykopaliliśmy długą, na dwadzieścia kilka metrów ziemlankę-blindaż, szeroką na 5 metrów. Przykryliśmy ją, jak normalny blindaż, warstwami belek i ziemi. Po obu stronach drewniane prycze dla żołnierzy i oficerów. Między nimi przestrzeń od jednego zejścia na dół po schodkach do przeciwległego. Przy obu zejściach prymitywne umywalki i beczki na wodę.

Od czasu do czasu ostrzeliwali nas Niemcy. Najbardziej dotkliwe dla żołnierzy zwiadu na froncie zimą były noce spędzone na mrozie przed okopami. Właśnie te

noce na śniegu pod gwiazdami w zbyt lekkich płaszczach, bez swetrów, często kończyły się odmrożeniami. Do tego nie było pewności, że Niemcy nie zaatakują.

Na urlop wyjechałem parę tygodni po Rewolucji Październikowej. Na kolei jeszcze panował względny spokój i porządek. Wygodnie, bez tłoku, pierwszą klasą przez Witebsk i Homel przyjechałem do Kijowa. Była tam późna jesień, ale mrozów jeszcze nie było. Przywiozłem ze sobą trochę pamiątek z wojny: między innymi niemiecki hełm, płaszcz i dwa rewolwery z nabojami. Spodziewano się mego przyjazdu, ale spotkanie po roku było bardzo radosne. Po kilku informacjach i okrzykach, powrót rozpoczął się od kąpieli i włożenia czystej białizny. Wszystko co przywiozłem – prócz płaszcza niemieckiego i broni – poszło do dezynfekcji i prania. Rytuś ten powtarzał się zawsze potem, gdy przyjeżdżałem z frontu. Nie miałem wszy tylko po wojnie w 1920 r. i po Powstaniu Warszawskim.

Dowiedziałem się, że Janka (siostra) ukończyła w normalnym czasie gimnazjum pani Krüger, oraz że Wojtek (brat) z czteroletnim opóźnieniem zdał maturę w szkole handlowej. Myślę, że pomogła mu w tym

Rewolucja Lutowa, w której brał udział. Pracował jako komisarz w milicji jeszcze Kiereńskiego. Imponowało to bardzo naszym trzem dozorcóm, którzy znali go od dziecka.

Okazało się, że na zebraniu prezydium Ligi Piłki Nożnej uczczono pamięć o mnie jako ofierze wojny. Wojtek w tym czasie przeglądał – będąc sekretarzem Ligi – jakieś papiery, wstał z innymi; i dopiero siadając zrozumiał, o co chodzi, i przeraził się; ale nie na długo.

Dowiedziałem się przy okazji, co to są kartki żywnościowe i co to jest chleb, w którym – prócz obcych składników – jest trochę mąki żytniej. Dowiedziałem się, że młodzież męska naszego podwórkowego towarzystwa przebywa jeszcze na froncie. Kilku zabitych; dziewczyny, podobnie jak starsi, przygnębione. Na odjezdnym, bawiąc się w pokoju piłką nożną, rozbiłem obie szyby w oknie; a była to już połowa listopada i rewolucja.

Na front wracałem w przedziale sypialnym pierwszej klasy; w ciepłym, jasno oświetlonym wagonie. Tak dojechałem – nowo zbudowaną linią kolejową – przez Korosteń do Witebska. W Witebsku na dworcu panowała już w pełni rewolucja i wojna.

II

Rewolucja przenikała na front już od wczesnej wiosny 1917 r. Spowodował to nowo mianowany minister wojny Kiereński swym sławetnym rozkazem N 1. Ale front żył swoim życiem nie troszcząc się o rewolucję. Dopiero w końcu sierpnia przeniknęła ona masowo na front poprzez agitację bolszewicką *Okopnaja prawda* i poprzez wybory do różnych komitetów. Rozszalała na dobre po wypadkach z końca października w Piotrogradzie. Domagano się powszechnie demobilizacji i pokoju.

Pułki naszej 22 dywizji: Pietrowski, Nysłocki, Wilmanstrandzki i Wyborski na-

leżały do najlepszych; opierały się agitacji i walczyły do końca. W pułkach tych były szturmowe kompanie i bataliony; ale były to wyjątki.

Sytuacja rządu Kiereńskiego stała się rozpaczliwa. Nie było wyjścia. Po przystąpieniu do wojny USA klęska Niemiec była pewna. Aby znaleźć się w obozie zwycięzców wystarczyło zatrzymać żołnierzy w okopach, nawet bez walki oraz jako tako wyżywić kraj przez kilka miesięcy. Ale to właśnie było niemożliwe. Przegrywane bitwy, rozpoczynający się głód, masy żołnierskie niecierpliwie czekające na powrót do domów. Do tego propaganda bolszewików i złudne hasło: *Mir bez aneksji i kontrybucji* (pokój bez aneksji i kontrybucji) uniemożliwiały prowadzenie wojny. Chcąc utrzymać się przy władzy Kiereński musiałby zawrzeć separatystyczny pokój. Ale wtedy obaliliby go generałowie. Ponieważ nie uczynił tego – obalili go bolszewicy.

Przeciwnie, sytuacja dla bolszewików układała się bardzo pomyślnie. Rewolucja Październikowa była jedyną zwycięską rewolucją zmieniającą radykalnie ustrój. Jedynie w ówczesnej Rosji, w warunkach przegranej wojny, uzbrojonych mas żołnierskich, gospodarczego załamania, nasilającego się chaosu, było to możliwe.

III

O świcie 1grudnia 1917 r., w mroźny zimowy dzień, wysiadłem z pociągu na końcowym przyfrontowym przystanku. Dowiedziałem się od komendanta stacji, że naszą 22 dywizję przesunięto na północ. Pokazał mi na mapie miejscowość i drogę. Było to 40 km od miejsca, gdzie wysiadłem.

Natychmiast wyruszyłem w drogę. Wstawało słońce. Kraj pusty, zima północna, mroźna i śnieżna. Droga ledwie przetarta. Idąc w śniegu sześć godzin byłem bardzo zmęczony. Przypadkowo spostrze-



Granat Millsa

głem pod lasem, między krzakami, dym – a więc ludzie. Była to ziemiarka telefonistów. Żołnierze dali mi duży kubek herbaty – odżyłem. Po krótkim odpoczynku ruszyłem dalej. Przed północą odnalazłem duży murowany dom (zdaje się była to szkoła), w którym był zakwaterowany nasz oddział. Było zimno; ze źle domkniętych okien wiało, ale spałem jak zabity.

Na drugi dzień rozejrzałem się w sytuacji. Kapitan Rikimczuk był na urlopie. Przybył nowy oficer Chołmogorow – dawny chorąży, bardzo odważny, posiadacz wszystkich orderów bojowych. Sytuacja bytowa była niewesoła. Zlikwidowano ordynansów, trzeba było samemu kłopotać się o przynoszenie wody ze studni, o przynoszenie obiadów i śniadań, o pranie. Bywało tak nieraz w życiu, ale najgorsze było to, że trzeba było czekać beczynnie na coś, co było nieznane i wrogie. Stosunek żołnierzy do oficerów na skutek propagandy był nieprzyjazny. Żołnierze oskarżali oficerów o oszukiwanie ich i o przedłużanie wojny. Podział armii na czerwoną i białą – to podział na żołnierzy i oficerów. Przywództwo i organizacja czerwonych przypadła bolszewikom; im też przypadło zwycięstwo.

Powoli przystosowaliśmy się do warunków. Tak upływały najgorsze, beznadziejne dni wojny. Pewnego styczniowego dnia adiutant Iwanow przyniósł mi depezę z domu z wiadomością o chorobie Matki. Nie bardzo wierzyłem w tę wiadomość. Adiutant powiedział, że dywizja nasza za parę tygodni odchodzi do swych baz, do paru miast koło Piotrogradu (Narwa, Jamna, Ługa). Pułkownik Derfelden wyraził zgodę na mój urlop okolicznościowy.

W tym czasie nasiliła się solidarność oficerska; zrozumienie wspólnego losu zacieśniło między nami stosunki przyjaźni i solidarności. Iwanow uścisnął mi dłoń, spojrzał na moje naramienniki z trupa głową i powiedział: *Nu, czornyje pagony tie-pier' Wam nie k'licu* (no, czarne pagony teraz Panu nie do twarzy); chwycił lewy naramiennik, ale tylko go naderwał. Uchyliłem się od dalszych prób; uważałem, że zdjęcie naramienników przed demobilizacją byłoby tchórzostwem. Do domu przyjechałem więc z naderwanym naramiennikiem i nie chciano mi wierzyć, że to zrobił adiutant pułkowy. Przy starciach lub konfliktach żołnierze zabijali, a nie bawili się w zrywanie orderów lub dystynkcji.

W ciągu paru tygodni od mojego przyjazdu na front wygląd szerokiego przyfrontowego pasa uległ zupełnej zmianie. Dawniej cichy, bezludny, napełnił się masami żywołowo demobilizujących się żołnierzy. Na dworcach kolejowych tłumy oczekujących na pociągi żołnierzy, puste bufety, brud, wagony bez szyb zatłoczone do granic możliwości. Od czasu zamordowania szefa sztabu generalnego gen. Duchonina nasiliła się nienawiść żołnierzy do oficerów; oficerowie podróżowali bez dystynkcji i odpowiednio uzbrojeni. Przygotowując się do podróży trzeba było to uwzględnić.

Po namyśle zabrałem ze sobą zmianę bielizny, paczkę z kanapkami, nagan i 4 świetne granaty Millsa: małe, niezawodne i łatwe w użyciu. Zawsze sądziłem, że bez walki, nawet beznadziejnej, nie wolno dać się zabić.

Do wsi, gdzie kwaterował sztab 88 Piotrowskiego Pułku (do niego należał nasz oddział), wróciła część gospodarzy. Jeden z nich miał parę dobrych koni i trochę siana; miał także kozuch, zgodził się więc dowieźć mnie do najbliższej stacji. Mieliśmy do przebycia te same 40 km. Wyruszyliśmy na noc; co jakiś czas musiałem biec; mróz był duży, a płaszcz żołnierski nie zabezpieczał przed nim. Podbiegał także mój gospodarz w kozuchu.

Droga prowadziła przez puste pola, lasy i wzgórza. Wszędzie leżały trupy końskie – nie było czym karmić koni. Wilki jeszcze nie wróciły, a ptaków było za mało. Wojna kończyła się polami trupów końskich.

Nie przepadam za motoryzacją, ale przynajmniej zaoszczędziła ona wielu koniom mąk, które zadawał im człowiek na wojnie.

Do stacji kolejowej dojechaliśmy o wschodzie słońca. Ku memu zdumieniu właśnie nadjeżdżał pociąg i przy torach tłoczyli się żołnierze. Zapłaciłem gospodarzowi i pobiegłem do wagonu. I tu przydała mi się zaprawa harcerska i sportowa. Dostrze-

głem, do którego wagonu należało biec, a ponieważ byłem silniejszy od innych, wdrapałem się do niego jako jeden z pierwszych i miałem siedzące miejsce. Nie na wiele to mi się przydało.

Nieustannie przybywali nowi pasażerowie. Wytworzył się ścisk nie do zniesienia. Parę osób siedziało mi na kolanach i nie mogłem ruszyć ręką. O zjedzeniu kanapek i o łyku wody nie można było marzyć; dobrze że granaty były należycie zabezpieczone. Dobrze też, że od 14 godzin nic nie jadłem i nie piłem.

W miarę oddalania się od frontu robiło się luźniej. Z trudem precyzyjnie się do ubikacji, tracąc ukradziony mi w tłumie baszłyk (rodzaj kaptura na głowę). Był najwyższy czas. Dojeżdżaliśmy wtedy do Rzerzycy. Tym razem jechałem przez Madonę, Rzerzycę, Witebsk; i nie na Sarny, jak zwykle, ale przez Żłobin, Bachmacz.

W Witebsku wsiałem do pociągu na Żłobin, gdyż jechał wcześniej. W przedziale drugiej klasy (były wtedy trzy klasy) było nas 9 oficerów. Nie zmarzliśmy, gdyż rozbite okna były zasłonięte płaszczami i zastawione walizkami. Na stacjach węzłowych próbowano z peronu wcisnąć się przez okna do przedziału. Posługiwano się przy tym tyłkiem jednego ze szturmujących jak taranem. Oficer siedzący przy oknie miał długą damską szpilkę od kapelusza; wsuwał ją między walizki i wbijał w taran. Okrzyk, przekleństwo i zeskok kończyły szturm.

Przyjechałem do Kijowa po trzech nieprzespanych dobach, bardzo zmęczony. Pomimo to rytuał powrotu został ściśle zachowany. Zaraz po zbiegowisku rodziny w przedpokoju wyruszyłem do łazienki, gdzie umyłem się i wziąłem tusz w lodowato zimnej wodzie. Przywykłem na froncie do zimowych kąpeli na śniegu. Rzeczy, jak zawsze, do prania; gorące żelazko.

W tym dniu skończyła się epopeja wojny dla mnie i całej rodziny. Nastąpiły groźne, ponure i głodne lata rewolucji. □

AGATA URSYN

RELIGIA W POLSKIEJ SZKOLE PUBLICZNEJ. TRUDNE WSPÓŁISTNIENIE

Po zmianie ustroju w Polsce Kościół natchmiast upominał się o religię w szkole. Wiele też było ludzi rozczarowanych ideami bez pokrycia, faworyzowanymi przez władze państwowe w poprzednim okresie. Ale byli także przeciwnicy wprowadzenia religii do szkoły, obawiający się, że będzie to również indoktrynacja polityczna. „W moim przekonaniu nauka religii nie musi być indoktrynacją w żadnym wymiarze. Nauka religii rozumiana jako nauka o prawdzie i dobru jest potrzebna w szkole” – mówił profesor Henryk Samsonowicz w 2012 r. To on umożliwił – jako minister edukacji w rządzie Tadeusza Mazowieckiego – wprowadzenie nauki religii do szkoły publicznej od 1 września 1990 r.

Z perspektywy minionych 30. lat widać, że nauczanie religii w polskiej szkole niewiele ma wspólnego z pięknym ideałem profesorskim. Dominuje działanie, którego skutkiem jest konfesjonalizacja szkoły publicznej i deprecjacja przedmiotu „religia” na forum szkolnym.

Stan relacji nauka religii – szkoła

W tej dziedzinie – mówiąc publicystycznie – religia na swój sposób szkodzi szkole. Dzieje się tak za sprawą realizowania konfesyjnego modelu nauczania religii. Obecność religii w szkole nie kończy się na przekazie historycznym oraz doktrynalnej treści danej religii w sali lekcyjnej, lecz towarzyszy temu wspólne wykonywanie w tym miejscu przez uczniów czynności typowych dla zachowań religij-

nych. W praktyce religia, zwłaszcza katolicka, jest po prostu krzewiona na terenie szkoły. Za takie działanie należy uznać np. umieszczanie emblematów religijnych na terenie szkoły (bywa, że krzyż znajduje się nawet w sali gimnastycznej!), łączenie uroczystości szkolnych z obrzędami religijnymi, organizowanie rekolekcji lub podobnych praktyk kultowych w trakcie godzin lekcyjnych, zastępowanie lekcjami religii zajęć z innych przedmiotów.

W konsekwencji od 1990 r. polskim szkołom publicznym stopniowo nadany został religijny profil światopoglądowy. T. J. Zieliński –wnikliwy obserwator stosunków wyznaniowych w Polsce – pisze wprost, że „są to publiczne szkoły o profilu katolickim, tolerujące innowierców i bezwyznaniowców”.

Władze Kościoła katolickiego nie przestają na wzmacnianiu tego stanu rzeczy, domagając się od każdej ekipy rządzącej dokonania zmian w przepisach regulujących nauczanie religii w szkołach publicznych.

W 2007 r. spełniony został postulat Episkopatu Polski wliczania do średniej ocen ucznia rocznej oceny, uzyskanej z zajęć religii lub etyka. Uzasadniano tę inicjatywę potrzebą dostarczenia uczniom motywacji i docenienia wysiłku wkładanego w realizację zajęć nadobowiązkowych. Chodziło także o uczynienie ze średniej ocen „nośnika” informacji o postępach ucznia w procesie edukacyjnym. To *sui generis* „przekupstwo” wobec uczniów krytykowano w środowisku oświatowym, prawniczym,



parlamentarnym, a także katolickim. Zajmował się nim również Trybunał Konstytucyjny w 2009 r., co dowodzi kontrowersyjności kościelnego pomysłu.

Na realizację czekają następujące postulaty kościelne:

1) Nadanie religii i etyce statusu przedmiotu obowiązkowego. W obecnym stanie prawnym (1.09.2021 r.) są to przedmioty nieobowiązkowe, udział w nich jest dobrowolny. Uczeń może uczęszczać na religię (2 lekcje w tygodniu) lub na etykę (to zazwyczaj 1 lekcja); może realizować oba przedmioty, może nie wybierać żadnego przedmiotu. Dopuszczalność „ścieżki nic” jest – wedle władz kościelnych – rozwiązaniem niewychowawczym, wręcz deprawującym. Dlatego „uczniowie niewierzący powinni chodzić na zajęcia z etyki” – głoszą biskupi.

Kościół występuje przeciw wariantowi „nic” od wielu lat, ale niekonsekwentnie. W 2006 r. wycofał się z postulatu wprowadzenia obowiązkowej nauki religii i etyki. Powrócił do tego w 2018 r. ponownie na forum Komisji Wspólnej przedstawiceli Rządu RP i Konferencji Episkopatu Polski. Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek (w rządzie PiS od 2020 r.) nie jest więc autorem tego pomysłu. Jest natomiast jego „tworzą” na forum publicznym i wysokim urzędnikiem państwowym, który gor-

liwie dąży do osiągnięcia powyższego celu w krótkim czasie. W 2021 r. zdecydował o wdrożeniu systemu kształcenia nowych nauczycieli etyki na studiach podyplomowych.

W sumie zawsze była to niewielka grupa nauczycieli (3936 osób, wg stanu w dniu 30.09.2020 r.; grupa katechetów liczyła wtedy 40713 osób). W wielu szkołach w Polsce nadal nie ma przedmiotu o nazwie etyka. W tym stanie rzeczy działanie ministerialne wydaje się właściwe. Jest ono jednak zdeformowane już u podstawy, gdyż narzuca kierunek kształcenia nowych etyków. Minister powierzył bowiem prowadzenie studiów podyplomowych kilku uczelniom o profilu katolickim i takim uczelniom i wydziałom teologicznym jak np. Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego, Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (czyli uczelnia ks. T. Rydzyska). Jediną uczelnią świecką w tym zbiorze jest Uniwersytet Wrocławski, który zamierza kształcić nowych etyków na własnym Wydziale Filozofii.

Teoretycznie wiadomo, jakie „owoce” wyda to przedsięwzięcie, o ile się powiedzie. Może będzie to rzesza nowych nauczycieli, ale etyki katolickiej. Tymczasem istotą etyki – jako przedmiotu w szkole – jest poznanie przez uczniów różnych etyk o różnych podstawach filozoficznych.

2) Składanie egzaminu dojrzałości z religii. W koncepcji Konferencji Episkopatu Polski jest to egzamin fakultatywny, umożliwiający zainteresowanym uczniom (katolikom i niekatolikom) wstęp na studia teologiczne. Ponadto organ ten oczekuje, że perspektywa zdawania religii na maturze „nada właściwą rangę nauczaniu religii” w szkołach. Kościół katolicki był przygotowany do przeprowadzenia takiego egzaminu już od 2010 r., ale na przeszkodzie stała reforma systemu oświaty, likwidująca m.in. szkoły gimnazjalne (w 2017 r.) Rozpoczęcie kształcenia młodzieży w nowym



systemie, czyli w szkołach ponadpodstawowych spowodowało, że MEN pomimo nacisku ze strony episkopatu ponownie przesunęło wprowadzenie matury z religii. Zapowiadano przy tym, że najwcześniej może to się stać w roku 2021, co jednak nie nastąpiło.

3) Katecheta jako wychowawca klasy. W obowiązującym stanie prawnym, określonym rozporządzeniem MEN z dnia 14 kwietnia 1992 r. w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach: „Nauczyciel religii wchodzi w skład rady pedagogicznej szkoły, nie przyjmuje jednak obowiązków wychowawcy klasy” (§ 7 ust. 1).

W ocenie strony kościelnej powyższy przepis powinien być zmieniony, gdyż – po pierwsze – jest „ewidentnie dyskryminacyjny” w stosunku do dużej grupy nauczycieli i jest nieadekwatny do współczesnej sytuacji. Po drugie – zasada niedopuszczania katechety do obowiązków wychowawcy klasy pochodzi z 1992 r., gdy katechetami w szkołach byli w większości księża i zakonnice. Po latach sytuacja jest inna. W roku szkolnym 2018/2019 oso-

by świeckie stanowiły blisko 60 proc. ogółu katechetów katolickich. Po trzecie – wielu katechetów świeckich uczy także innych przedmiotów, gdyż uzupełnili swoje kwalifikacje. Mogą oni być zatem powoływani na wychowawców klas. MEN przygotowało w 2018 r. projekt zmiany § 7 ust. 1 rozporządzenia z 1992 r. Nie zostało ono jednak znowelizowane.

Urzeczywistnienie powyższych postulatów pogłębi stan konfesjonalizacji szkoły publicznej. Wątpliwie jest natomiast, czy ich realizacja przyczyni się do podniesienia rangi przedmiotu „religia” w szkole.

Stan relacji szkoła publiczna – nauczanie religii

Z perspektywy minionych 30. lat widać, że forum szkolne nie służy nauczaniu religii. Badacze zagadnienia szybko dostrzegli i nadal wskazują następujące problemy:

1) Trudność w tworzeniu atmosfery *sacrum* w czasie lekcji religii; tendencja do banalizowania i bagatelizowania lekcji religii przez uczniów; osłabienie więzi uczniów z parafią, zmniejszenie poczucia odpowiedzialności rodziców za wychowanie religijne dzieci. Są to swoiste straty czy też koszty, jakie ponosi zwłaszcza Kościół katolicki po przeniesieniu w 1990 r. nauczania religii z parafialnych punktów katechetycznych do szkół publicznych.

2) Stałym problemem jest niewydolność organizacyjna szkół przy planowaniu zajęć z religii i etyki w tygodniowym rozkładzie zajęć szkolnych. Rozwiązaniem idealnym jest umieszczanie lekcji religii i etyki w danym dniu przed zajęciami obowiązkowymi lub po nich. Powszechnie jest natomiast umieszczanie katechezy między innymi lekcjami, co w praktyce wymusza frekwencję na zajęciach z religii.

Od 1992 r. „etyka” jest przedmiotem alternatywnym dla nauki religii. Od początku możliwość wyboru etyki była utrudniana przez szkołę. W wielu placówkach nie organizowano zajęć, gdyż brakowało wy-



kwalifikowanych nauczycieli etyki i liczby uczniów, wymaganej przez prawo do organizowania zajęć na miejscu. Nieliczni uczniowie mogli wtedy uczęszczać na zajęcia z etyki w grupach międzyoddziałowych, międzyklasowych i międzyszkolnych. Grupa międzyszkolna mogła być utworzona, gdy zgłosiło się co najmniej 3 uczniów.

W 2014 r. zniesiono ten limit i zobowiązano szkołę do organizowania zajęć z etyki dla każdej liczby uczniów. W praktyce może to być nawet 1 uczeń. To ustalenie jest konsekwencją wyroku wydanego przez Europejski Trybunał Praw Człowieka w 2010 r. w sprawie „Grzelak przeciwko Polsce”. W roku szkolnym 2013/14 etyki uczono w 1104 szkołach, w roku 2014/15 były to już 2802 szkoły (11,3 proc. ogółu szkół). Zmiana dokonana w 2014 r. odnosi się także do grup międzyszkolnych i pozaszkolnych punktów katechetycznych, w których odbywają się lekcje religii dla uczniów wyznań mniejszościowych.

Dodatkowym problemem jest frekwencja. Niewybieranie etyki wynika często z niewiedzy rodziców i uczniów o możliwości uczenia się etyki zamiast religii, a także z obawy przed samym przedmiotem. W środowiskach szkolnych uczęszczanie na etykę bywa odbierane jako deklaracja

wrogości wobec Kościoła katolickiego i system intelektualny zagrażający katolicyzmowi. Reasumując: „etyka w polskiej szkole zawadza. Jest podejrzana pod względem ideowym, utrudnia organizację pracy w szkole, a na dodatek stanowi kolejne obciążenie dla budżetu gminy. Nikt nie będzie zainteresowany tym, żeby znalazła się w siatce godzin lekcyjnych” – mówiła z goryczą w 2021 r. doświadczona nauczycielka etyki we Włocławku.

3) Niezadowolająca jakość nauczania katechetycznego. Ideałem katechety/katechetki jest osoba o wysokim poziomie wiedzy, oznaczająca się autentyczną wiarą, potrafiąca atrakcyjnie realizować program przedmiotu na wszystkich poziomach edukacji, otwarta na dialog z uczniami w różnych sprawach. Zdarzają się tacy katecheci. Są to zarówno osoby duchowne jak i świeccie.

Wszyscy katecheci mają obecnie do dyspozycji nowoczesne metody nauczania religii. Władze kościelne dbają o doskonalenie podręczników i stosowanie przez katechetów nowoczesnych pomocy dydaktycznych. To jednak nie przekłada się w sposób zadowolający na jakość i efektywność nauczania religii. Słabą stroną np. katechizacji katolickiej jest powszechność tradycyjnego, tzn. lekcyjnego sposobu nauczania. Cechu-



DEMOTYWATORY.PL

Religia w szkole

Czy aby na pewno jest konieczna?

je go podawanie wiedzy, gotowych formuł, wliczeń, unikanie przez katechetów trudnych tematów, brak otwartości z ich strony na opinie i poglądy uczniów inaczej myślących. To surowa opinia, ale wiarygodna. Wynika z badań socjologa katolickiego, opublikowanych w 2018 r.

Początek nowej relacji

Innym czynnikiem destrukcyjnym w procesie katechizacji jest rutyna szkolna. Władze Kościoła katolickiego rychło zauważyły, że przyczynia się ona do pomniejszenia ewangelizacyjnego wymiaru katechezy, że nie sprzyja należytemu wtańczeniu w istotę Kościoła jako wspólnoty wiary i w niezamierzony sposób oddała wielu uczniów od uczestniczenia w życiu parafii. Co więcej, publicznie przyznano, że „błędem było 20 lat temu całkowite przeniesienie katechezy do szkoły. Dziś widać, że część zajęć trzeba było pozostawić przy parafii i prowadzić nauczanie religii dwutorowo” – mówił w 2012 r. bp M. Men-

dyk, odpowiadający wtedy w Konferencji Episkopatu Polski za katechizację. Zdaniem innego hierarchy katolickiego „szkoła nie jest w stanie wypełnić w sposób wyczerpujący wszystkich zadań katechezy”. W konsekwencji w archidiecezji warmińskiej Kościoła katolickiego wprowadzono od 1 września 2015 r. systematyczną katechezę parafialną dla uczniów szkół wszystkich typów.

Od tego czasu zaczęto kształtować w Polsce nowy, dwutorowy model katechezy katolickiej. Obejmuje on 2 lekcje religii tygodniowo w szkole i katechezę przy parafii. Tam odbywa się przygotowanie uczniów do sakramentów, szczególnie przed Pierwszą Komunią Świętą i przed Bierzmowaniem. W czerwcu 2021 r. Konferencja Episkopatu Polski wyraziła zadowolenie z istnienia takiego modelu. Nie jest wiadome, na ile satysfakcjonuje on uczniów. W rzeczywistości jego funkcjonowanie oznacza dodatkowe obciążenie organizacyjne i czasowe dla uczniów oraz rodziców małych dzieci. □

SOJUSZ OŁTARZA Z TRONEM

Degradacja moralna Kościoła katolickiego w Polsce jest porażająca. Na skutek upadku jego autorytetu pustoszeją Wyższe Seminarium Duchowne, młodzież szkolna tysiącami wypisuje się z lekcji religii i coraz więcej dotychczas wierzących katolików podejmuje decyzję o apostazji, czyli o świadomym, formalnym wystąpieniu z Kościoła Katolickiego.

Zdumiewający wprost upadek moralności kleru polskiego piastującego godność kardynalską, arcybiskupią i biskupią, nie zapominając o zwykłych kapłanach-pedofilach, od niedawna stopniowo ujawniany, rozsadza organizację kościelną od wewnątrz. (Koniecznie przeczytaj: „Pusty Kościół” – wywiad Joanny Podgórskiej z ks. prof. Andrzejem Kobylińskim, w: „Polityka” nr 10/2021, s. 24-27).

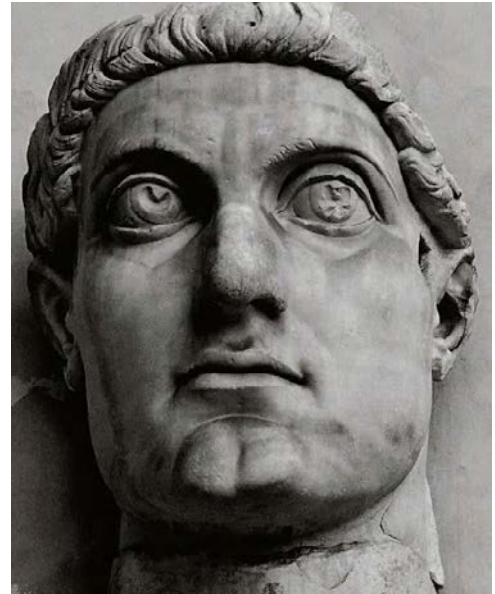
Lud, dotychczas wierzący i praktykujący, burzy się, tysiące kobiet polskich w dzielnicach większych i mniejszych miast manifestują swój sprzeciw przeciwko zastrzeżeniu ustawy antyaborcyjnej (z którego głośno cieszy się Prymas Polski), zmuszającej kobiety polskie do heroizmu; a tego robić nie należy. Heroizm, owszem, jest bardzo cenną, choć trudną postawą moralną. Chwała herosom, ale zmuszać do niej przepisami państwowego kodeksu karnego nie wolno.

Szkoda, że nie rozumie tego polski kler katolicki i podlizująca się mu rządząca Polską partia polityczna (PiS). Ta partia, która zawarła sojusz, zwany sojuszem „ołtarza z tronem” umacnia w Polsce teologiczny fundamentalizm i towarzyszący mu zamordyzm. Pamiętamy przecież wzajemne umizgi obu władz – państwowej i kościelnej. Pamiętamy, jak to władza świecka dziękowała panu Rydzykowi, kierownikowi katolickiej rozgłośni radiowej i telewizyjnej

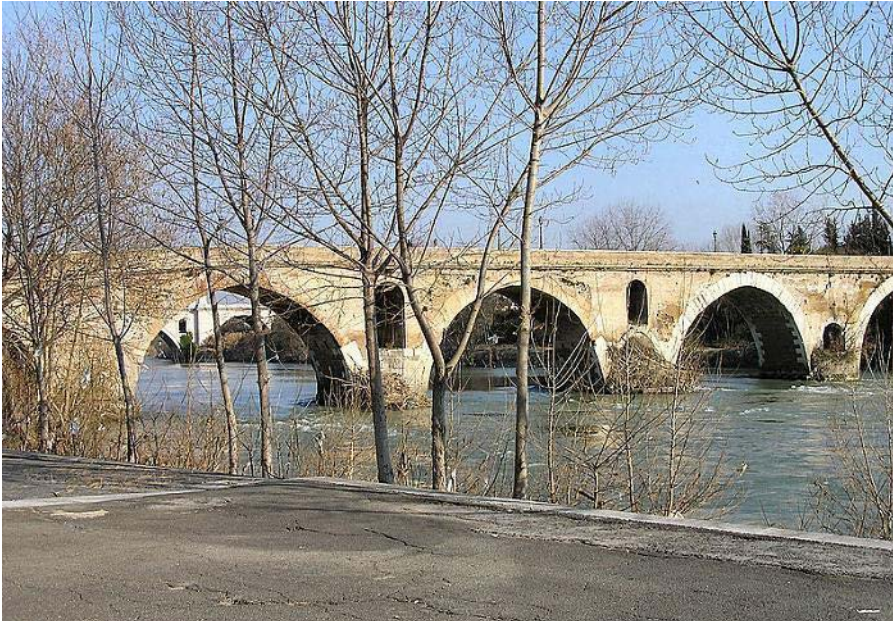
w Toruniu, za popieranie jej w wyborach parlamentarnych, bez którego to poparcia – mówił prezes Jarosław Kaczyński – „tych wyborów byśmy nie wygrali”.

Pamiętamy też, jak ów Rydzyk zapowiadał obserwację działalności ustawodawczej Sejmu Polskiego. – „Będziemy się przyglądać” – mówił, postulując taki kształt prawa prokreacyjnego, jakiego życzy sobie kościelny fundamentalizm, wymagający od polskich kobiet postaw heroicznych. Pamiętamy również, jak wyciągał ręce po mamonę dla potrzeb toruńskiego ośrodka rozgłośni katolickich i jak ta państwowa władza świecka hojnie go obdarowywała.

Ale czy fundamentalizm i zamordyzm to coś nowego, czego nigdy jeszcze nie było? Sięgnijmy więc do historii, do początków czwartego wieku naszej chrześcijańskiej ery. Okaze się, że sojusz Ołtarza z Tronem nie jest wynalazkiem współcze-



Konstantyn Wielki



Most Mulwijski w Rzymie

snych Polaków. Wiemy z historii, że nowa religia chrześcijańska była w miarę swego rozwoju coraz bardziej prześladowana przez państwowe władze rzymskie. Prześladowania owe osiągnęły swój szczyt za czasów rzymskiego cesarza Dioklecjana (ok. 284-305 n.e.).

Cesarz ów, dążąc do umacniania państwa wspierał tradycyjne rzymskie wartości i wierzenia religijne. Należało czcić tradycyjne bóstwa opiekuńcze Rzymu. Siłę państwa upatrywał również w jego religijnym charakterze. Edyktem wydanym w roku 303 n.e. przeciwko chrześcijanom zakazał w nim gromadzenia się chrześcijan na wspólne nabożeństwa, nakazał niszczenie ksiąg liturgicznych i miejsc kultu religijnego w całym cesarstwie oraz aresztowanie biskupów i zwykłych księży. Nakazał też usunięcie chrześcijan z armii, zarzucając im zakłócanie państwowych uroczystości religijnych. Wydał specjalny edykt przeciw manichejczykom (chrześcijańskim heretykom) karząc ich śmiercią bądź dożywotnimi robotami w kopalniach. Ich przywód-

ców kazał palić żywcem wraz z ich świętymi księgami.

Po śmierci Dioklecjana nielegalnie władzę cesarską objął uzurpator Maksencjusz opanowując wraz ze swoimi legionami Rzym. Posłuszeństwo wypowiedział mu Konstantyn, który ze swoimi z legionami wyruszył na Rzym i w starciu na Moście Mulwijskim koło Rzymu wygrał bitwę z Maksencjuszem. Legenda głosi (spreparowana niechybnie przez późniejszych apologetów chrześcijańskich), że przed bitwą Konstantyn doznał nadzwyczajnej wizji: oto ukazał się mu na niebie znak krzyża z napisem IN HOC SIGNO VINCES, tzn. „z tym znakiem zwycięzysz”.

Nakazał więc Konstantyn swoim legionistom umieścić na tarczach grecki monogram Chrystusa ze znakiem krzyża, dzięki czemu – wedle legendy – na Moście Mulwijskim pokonał Maksencjusza i został legalnym cesarzem Imperium. Panował w latach około 280-337 n.e. W owych to latach za panowania Konstantyna (nazwanego później Wielkim) pojawił się sojusz oł-

tarza z tronem, który trwał aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej, rozpoczynającej długotrwały okres europejskiego Oświecenia. (O Oświeceniu pisałem w nr 73, s. 5-11 oraz w nr 74, s. 6-19 FORUM MYŚLI WOLNEJ).

Położył w ten sposób Konstantyn fundamenty pod materialną potęgę Kościoła. Zorganizował też kodyfikację doktryny chrześcijańskiej, ale nie wykluczał dotychczasowych wierzeń ludności rzymskiej. Prowadził politykę tolerancji religijnej, a w roku 313 wydał tzw. Edykt Mediolański, w którym zrównał chrześcijaństwo z tradycyjną religią Rzymian. Na Wschodzie Cesarstwa nad Bosforem założył nowe miasto, które od jego imienia przyjęło nazwę KONSTANTYNOPOL i stało się w przyszłości ośrodkiem wschodniej części Imperium Romanum.

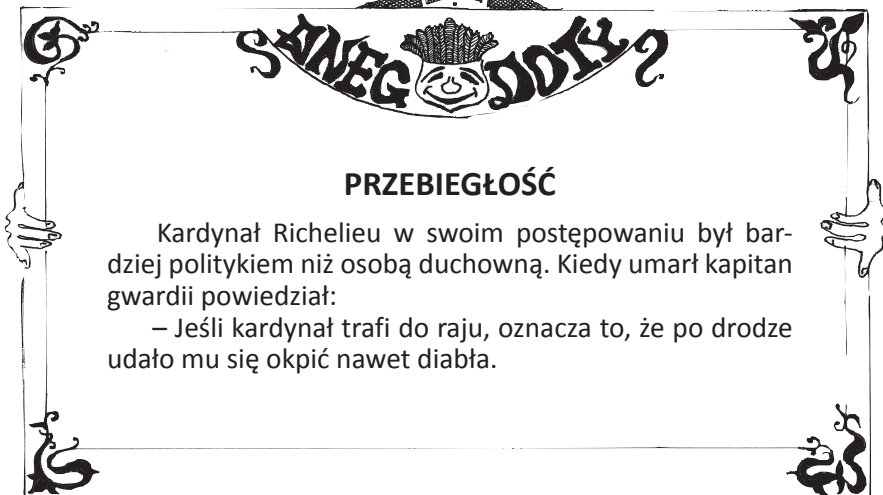
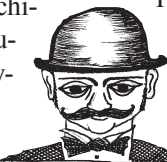
Z czasem zmieniło ono nazwę na BIZANCJUM. To tam, w pałacu cesarskim, odbywały się pierwsze sobory chrześcijańskie, od Soboru Nicejskiego (325 r.) poczynając, a na soborze Konstantynopolińskim IV (869-870) kończąc. Bizancjum było stolicą wschodniej części Cesarstwa Rzymskiego. Z czasem doszło do jego zerwania z Rzymem, a następnie do tzw. schizmy wschodniej. Zwane było Drugim Rzymem. Konstanty miał przy-

jąc chrzest dopiero na łożu śmierci. Przez chrześcijański Kościół Wschodni (prawosławny) uznawany jest nawet za świętego.

W następnych stuleciach sojusz ołtarza z tronem – aż do Wielkiej Rewolucji Francuskiej – funkcjonował w ten sposób (mówiąc w największym skrócie), że władza kościelna decyzją papieża bądź soboru orzekała o tym, kto zniekszzałca doktrynę religijną. Ten jest heretykiem, a wtedy cywilna władza państwowa dokonywała egzekucji heretyka, na ogół przez spalenie na stosie. Tak np. było ze spaleniem na stosie w Rzymie (na Campo di Fiori) Giordana Bruno 17.02.1600 r. Podobnie rozprawiano się z innymi heretykami.

Tak również spalono na stosie tysiące czarownic za ich rzekome konszachty z szatanem, podobnie (organizując krucjaty) wytępiono w latach 1209-1229 albigensów w południowej Francji. To tylko kilka przykładów aktywności sojuszu ołtarza z tronem. Dopiero pod wpływem idei oświeceniowych władze ustawodawcze poszczególnych państw oddzielały i usamodzielniały władzę państwową świecką od władzy duchowej, kościelnej.

Obecna Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej zaleca współdziałanie obu władz dla dobra społeczeństwa. I widzimy jak to współdziałanie wygląda. □

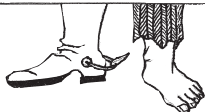


SANEJ DOK?

PRZEBIEGŁOŚĆ

Kardynał Richelieu w swoim postępowaniu był bardziej politykiem niż osobą duchowną. Kiedy umarł kapitan gwardii powiedział:

– Jeśli kardynał trafi do raju, oznacza to, że po drodze udało mu się okpić nawet diabła.



DANUTA STOLAREK

ALEKSANDER II I JEGO BURZLIWE ŻYCIE

cz. II Jekatierina Michajłowna Dołgorukaja

Jekatierina Michajłowna Dołgorukaja ze strony ojca pochodziła z jednego z najbardziej znamienitych i najstarszych rodów rosyjskich, wywodzących się od Rurykowiczów, założycieli pierwszej dynastii panującej na Rusi Kijowskiej, później Moskiewskiej. Jurij Dołgorukij ze strony matki z rodu Wiśniowieckich był założycielem Moskwy. Pierwsza żona Michaiła Romanowa (pierwszego z dynastii Romanowów) Maria Władimirowna również pochodziła z rodu Dołgorukich. Także z Jekatieriną Aleksiejewną Dołgoruką był zaręczony wnuk Piotra I, Piotr II (zmarł w przededniu ślubu); wielu Dołgorukich robiło karierę na dworach kolejnych carów. Zatem, jeśli uwzględnić znakomitość rodów, Jekatierina Michajłowna znacznie przewyższała Romanowów, a szczególnie ostatnich carów, po kądzieli wywodzących się od ubogich, podrzędnych niemieckich księżniczek; niestety, nie miała w żyłach królewskiej krwi (nawet z nieprawego łoża).

Urodziła się w 1847 r., w Moskwie. Ojciec stracił ogromny majątek na podejrzanych machinacjach giełdowych, rodzina mieszkała w zubożałym majątku Tieplówka pod Połtawą. Tam w 1859 r. z okazji 150 rocznicy bitwy pod Połtawą odbywały się manewry wojskowe i rodzina Dołgorukich zaprosiła cara na wypoczynek. Tam też doszło do pierwszego spotkania cara z jedenaastoletnią wówczas Katią, która bardzo chciała zobaczyć cara. Odbyła się miła rozmowa dojrzałego, ponad czterdziestoletnie-

go mężczyzny z nastolatką. Spotkanie będzie miało konsekwencje w przyszłości.

Car zaprzyjaźnił się z rodziną Dołgorukich (księciem Michaiłem i księżną Warwarą); po czterech latach dowiedział się o ich katastrofalnej sytuacji majątkowej. Majątek był obciążony ogromnymi długami, wielokrotnie zastawiony i – mimo, że matka sprzedała wszystkie klejnoty – mogła spłacić tylko procenty od długów. Oprócz tego spłonął ich dom, w którym wypoczywał car podczas manewrów. Mimo protestów męża księżna Warwara napisała list do cara z prośbą o pomoc. Car spłacił ich długi, na koszt własny zapewnił córkom Kati i Maszy stypendium i bezpłatne kształcenie w elitarnym Instytucie Smolnym, a czterem synom w korpusie kadetów. Książę Michaił zmarł na serce, a księżna Warwara otrzymała mieszkanie w Petersburgu.

W 1864 r. w zastępstwie chorej carowej car w niedzielę palmową złożył wizytę w Instytucie Smolnym, tam spotkał siostry Katię i Maszę; był zauroczony urodą starszej siostry. Prawie osiemnastoletnia Katia była średniego wzrostu, miała piękne jasno-kasztanowe włosy, piękną twarz o regularnych rysach i marmurowej cerze z lekkim rumieńcem, śliczną, pełną gracji figurę.

Car był zauroczony, posyłał jej do instytutu kosze ze słodyczami i owocami. Kiedy zachorowała, incognito odwiedzał ją w lazarecie; kiedy skarżyła się na wyżywienie zarządził, by korzystała z tzw. „dyrektorskiego stołu”. Mimo że już ukończyła In-



Jekatierina Michajłowna Dołgorukowa i car Aleksander II

stytut, nadal mieszkała w nim, otrzymywała carskie stypendium. Poprosił jedną z wychowawczyń Warwarę Szebeko (dawną faworytkę monarchy, rajfurkę, która wcześniej wykonywała delikatne polecenia cara), by zapraszała Katię na spacer do Ogrodu Letniego, gdzie się spotykali.

Car mimo swoich 47 lat nadal był bardzo atrakcyjnym mężczyzną (potwierdzają to portrety z tego okresu). Fascynacja była obustronna. Później, kiedy ich spacer zaczęły zwracać uwagę publiczności, przeniesiono je do innych parków (wtedy jeszcze car nie korzystał z żadnej ochrony, pojawiła się ona dopiero po zamachach). Nadal ich znajomość miała charakter czysto platoniczny.

Katia była nieśmiała, car fascynował ją jako mężczyzna; jego status nie robił na niej większego wrażenia. Nie czyniła żadnych gestów, by przyspieszyć bieg zdarzeń, nie rozumiała coraz bardziej przejrzystych aluzji W. Szebeko, czego oczekuje zakochany Aleksander II. Dla panny bez posagu korzystne wyjście za mąż było furtką do wyższego świata, ale ona odrzucała wszelkie propozycje.

Operatywna W. Szebeko pragnęła przyspieszyć bieg wydarzeń i spotkała się z jej matką, która wtedy już zamieszkiwała w apartamencie opłaconym przez cara. Przekazała jej znaczną kwotę pieniędzy i robiła przejrzyste aluzje, przypominając, że jeden z Wiśniowieckich przywiózł do Petersburga chórzystę Aleksego Rozuma, który w przyszłości został hrabią i faworytem carowej Jelizawiey Pietrowny i jej przyszłym tajnym mężem, że kariera jej rodziny też może zależeć od tego romansu. Miała nadzieję, że matka zainspiruje dalszy rozwój na razie platonicznych relacji. Misja niespecjalnie się powiodła. Księżna Wiera z długiego monologu W. Szebeko zrozumiała tylko to, że Katia podoba się carowi.

Na prośbę Aleksandra II carowa (choć niechętnie) wyraziła zgodę, by przyjąć ją do grona frejlin, co dawało jej prawo bywać na dworskich balach i przyjęciach. Z obowiązków frejliny raczej się nie wywiązywała. Dwór swoim przepychem, intrygami i sztucznością atmosfery ją krępował, a carowa, domyślająca się powodów nominacji, niechętnie ją widziała w swoim otoczeniu.



Ogród letni w Petersburgu

Rok 1866 r. był bardzo ciężki dla Katii, bo wtedy zmarła jej matka. Aby złagodzić jej samotność W. Szebeko („ciocia Wawa”), przeprowadziła się do Katii mając nadzieję, że jeśli przyspieszy rozwój romansu, jej usługi zostaną sownie wynagrodzone. Sama Katia natomiast ceniła niewinną opiekę cara. Ich romantyczne spacerunki, długie rozmowy, platoniczne uczucia, jego delikatność, troskliwa opieka – wszystko to bardzo ją wzruszało. Po jednym ze spacerów w Ogrodzie Letnim doszło do pierwszego zamachu (na szczęście dla niego nieudanego) zamachu na cara.

Do ich zbliżenia doszło w 1866 r. podczas balu z okazji rocznicy ślubu rodziców cara (już nieżyjących!) w Peterhofie, w nocy z 1 na 2 lipca. Rodzina carska zauważyła spojrzenia cara podczas tańca. Zaczęła się domyślać, kiedy z balu zniknęła Katia (W. Szebeko odwiozła ją do pałacyku myśliwskiego „Bibigon”, położonego około 3 km od Peterhofu), a później car opuścił bal. Carewicz Aleksander odprowadził

go do karety. Na balu doszło do skandalu: carewicz Aleksander przerwał bal. Taki incydent naruszał zwyczaje dworu. Po nocy spędzonej z Katią szczęśliwy car oświadczył jej, że obecnie nie jest wolny, ale przy pierwszej możliwości ożeni się z nią, ponieważ od dziś i na zawsze wobec Boga uważa ją za swoją żonę. Katia uwierzyła w prawdziwość jego słów. Można się domyślać, o jakiej wolności mówił car.

Wszyscy traktowali ten związek jako kolejny romans cara, nikt nie wierzył w to, że może to być wzajemne, wielkie i długotrwałe uczucie. Dzieliła ich różnica wieku: 29 lat.

W 1867 r. Napoleon III zaprosił cara na Wystawę Światową do Paryża. Carowa (były już dwa zamachy na cara) błagała, żeby odwołał wyjazd; bardzo obawiała się zamachu ze strony Polaków, których wielu znalazło się we Francji po upadku powstania styczniowego. Car jednak był nieugięty; dla carowej było jasne, kto jest powodem tej decyzji.

Towarzyszili mu dwaj synowie. Car był śledzony zarówno przez francuskich jak i rosyjskich agentów. Najpierw car po spektaklu w teatrze wymknął się swojej świcie, poprosił tylko ministra o dużą kwotę pieniędzy i udał się na ulicę Bas-du-Rampart, gdzie w wynajętym mieszkaniu oczekiwała Katia, która wcześniej przybyła do Paryża. Później udało się Katię przemycić do rezydencji cara w Pałacu Elizejskim.

W Paryżu dokonano kolejnego zamachu na cara (przecucie nie myliło carowej), na szczęście dla niego też nieudanego.

Dni spędzone w Paryżu obydwójce wspominali w listach jako najszcześniejsze w ich życiu. Car powiedział żonie o spotkaniu z Katią po powrocie z Paryża. Musiała się pogodzić, że jest tylko formalną małżonką cara. Nie tylko nie robiła mu wyrzutów ani scen; nawet zabroniła damom dworu omawiania tego tematu w jej obecności; natomiast stała się centralną postacią liczego klanu Romanowów, potępiającego cara.

Zakochani spotykali się w pałacyku wynajętym dla Katii przez cara. Jeżeli nie mogli się spotkać, pisali do siebie listy. Nawet w czasie wojny tureckiej car pisał codziennie (czasami nawet 2 razy dziennie). W archiwum Aleksandra zachowało się kilka tysięcy listów; dużą ich część Katia wywiozła za granicę, gdy opuszczała Rosję. Nie uczestniczyła w balach, w życiu dworskim ani towarzyskim, całkowicie poświęciła się „ukochanemu Saszy”.

Kiedy w 1870 r. rodzina carska wyjechała na leczenie carowej do kurortu w Ems, car włączył Katię, jako frejlinę carowej do jej świty. Od 1871 r. spotykali się w Pałacu Zimowym w gabinecie cara Mikołaja. We wrześniu Katia poinformowała cara o ciąży, a 29 kwietnia 1872 r. przyjechała do Pałacu Zimowego i następnego dnia w gabinecie Mikołaja I urodziła syna, który kilka dni później otrzymał imię Georgij.

Dla Katii, która nie będąc żoną, nie chciała czuć się jego kochanką, ważne było miejsce urodzenia carskiego potomka.

Mimo że niemowlę odwieziono do mieszkania Rylejewa i wydawało się, że tajemnica zostanie zachowana, tym razem dwór zahuczał do plotek i komentarzy. Stało się jasne, że car ma drugą, tajną rodzinę. W dokumentach patronimikum syna zapisano Aleksandrowicz. Dwór przyzwyczajony do romansów i do tego, że pozamałżeńskie dzieci carów adoptują zaufani dworzanie, na taki obrót spraw nie był przygotowany.

Katia zamieszkała w tzw. Małym Pałacu Marmurowym (zwanym Różowym), kupionym dla niej przez Aleksandra. Pod koniec 1873 r. w tym samym gabinecie cara Mikołaja urodziła się córka Olga.

Fakt pobocznej rodziny cara był nie tylko ciosem dla carowej, ale także wywołał panikę wśród jego dzieci, szczególnie u następcy tronu – syna Aleksandra i jego żony Marii Fiodorowny. Obawiano się, że dzieci z drugiego związku (uznane przez cara) mogą pretendować do praw dynastycznych. Ostrze ataków było skierowane głównie przeciwko Jekatierinie Dołgorukiej. Nastroje (od 1867 r.) podjudzał szef Wydziału Trzeciego, hrabia Szuwałow.

Zaczął się swoisty proces „sakralizacji” w milczeniu cierpiącej carowej. Jak mawiała Katarzyna II, „serdeczna nienawiść wzajemna – to dominująca cecha dworu rosyjskiego”. Wspólny wróg ich najmocniej zjednoczył. Jeśli członkowie najbliższej rodziny po zapewnieniu przez cara, że prawa dynastyczne najstarszego syna nie są zagrożone, byli dyskretni w swoim potępieniu, to frejliny, arystokracja petersburska i salony nie ustawały w niewybrednych atakach, nazywając Katię epitetami „wiadoma osoba”, „wspomniana dama”, „ta panna” (wymieniam najbardziej oględne). Wytykano jej brak obycia, taktu, wręcz wulgarność w zachowaniu. Porównywano ją do bohaterki sztuki *Pigmalion* Elizy Doolittle – co było niesprawiedliwe, ponieważ była absolwentką Instytutu Smolnego, w którym maniery salonowe i nauka języków były na wysokim poziomie. Po raz pierwszy w historii życie osobiste cara stało się przedmio-

tem rozmów publicznych. Jak stwierdził jeden z historyków plotkowali wszyscy – od ministra do doróżkarza – i wyrażali swoje opinie. Rodzinę carską oburzało, że w ich obecności do cara zwracała się poufale „Saszka” – na co skutą etykietą dwór nawet w wąskim kręgu sobie nie pozwalał.

Car i jego wybranka znajdowali zrozumienie, a nawet sympatię tylko u męskiej części carskiej familii. Natomiast damska część i dworzanie zarzucali jej, że pojawia się na oficjalnych i rodzinnych obiadach, na nabożeństwach w pałacowej cerkwi celebrowanych dla rodziny panującej. Nie przyjmowali do wiadomości, że car nie tylko ją zapraszał, wręcz nalegał na jej obecność.

Miano jej za złe noszenie zbyt skromnych strojów i brak biżuterii, trzymanie się na uboczu, nie włączanie się do żadnej koterii. Z uczuciami cara nikt się nie liczył. Nikomu nie przychodziło do głowy, że władca zduszony sztywną atmosferą dworu pragnie ciepła, serdeczności, zrozumienia, normalnej rodziny. Pozory ponad wszystko, o czym Katia napisze później w swoich pamiętnikach.

Po porodzie car z Jekatieriną Dołgorukową i dziećmi wyjechali do kurortu w Ems. Tam znowu doszło do skandalu. Car (oczywiście anonimowo) postanowił zrobić rodzinną fotografię. Aby nie wyglądała zbyt intymnie, na zdjęciu znalazły się przyjaciółka Katii i W. Szebeko. Ponieważ fotografia bardzo mu się podobała, postanowił zamówić jeszcze kilka odbitek. Okazało się, że wszechmocny hrabia Szuwałow, który wcześniej obiecywał, że „rozprawi się z awanturnicą”, wykupił nie tylko wszystkie odbitki, ale i negatywy i zniszczył je.

Wieloletnie dobre stosunki ministra z carem zostały zepsute, car wysłuchał jego opinii o atmosferze na dworze w związku z nowym związkiem i lodowato oświadczył, że nikomu nie pozwoli ingerować w swoje życie osobiste. Nie pytając hrabie-

go o zdanie wysłał go w 1874 r. na placówkę do Londynu w randze ambasadora.

Katii zarzucano, że ma zbyt duży wpływ na cara. Rzeczywiście o wielu sprawach wagi państwowej rozmawiał z nią, dzielił się swoimi przemyśleniami na temat wdrażanych reform, sytuacji w kraju. Należy zauważyć, że dwór był mocno podzielony. Wokół cara byli skupieni zwolennicy reform, wokół syna Aleksandra stronnictwo konserwatywne, żądające podjęcia radykalnych działań przeciwko terrorowi, wycofania się z reform, powstrzymania industrializacji kraju i innych. Ponieważ Katia żyła praktycznie w izolacji, nie była związana z żadną frakcją na skłóconym dworze, car jej ufał i chętnie dzielił się z nią swoimi myślami, omawiał wiele decyzji. Dołgorukaja potrafiła przekonać cara do likwidacji Trzeciego Wydziału i w jego miejsce utworzenia departamentu policji bezpośrednio podległej carowi; wspierała go w zamiśle przygotowania manifestu – swoistej konstytucji, którą car miał ogłosić 2 marca 1881 r.

Katię najbardziej niepokoiły sprawy bezpieczeństwa cara. Próbowwała wszelkimi sposobami go uchronić, ograniczyć jego udział w paradach, przeglądach wojsk, publicznych przyjęciach. Bezskutecznie. Car nie chciał uchodzić za tchórza i liczył się z etykietą. Udało się jej tylko przekonać go do zamknięcia Ogrodu Letniego dla publiczności. A terroryści „polowali na niego jak na zająca” – jak pewnego razu stwierdziła carowa.

Kiedy zaczął nasilać się terror, w Pałacu Zimowym doszło do wybuchu; miały miejsce zamachy na cara, na pociągi, którymi podróżował. Car poważnie zaniepokoił się o bezpieczeństwo swojej drugiej rodziny. Po powrocie z wojny tureckiej postanowił przenieść ją z Pałacu Różowego do Pałacu Zimowego.

Mimo, że zamieszkała w trzypokojowym apartamencie, w odległym skrzydle ogromnego pałacu na najwyższym piętrze, obok pokojów frejlin i służby, fala krytyki

nasiliła się. Uznano to nie tylko za skandal, ale i za afront wobec chorej carowej i całej carskiej rodziny. W późniejszych opracowaniach przekreślono fakty, że zamieszkała z dziećmi nad pokojami umierającej carowej, co było nieprawdą.

Nie skrywała swego oburzenia nie tylko wielka księżna Dagmar, żona następcy tronu, ale i frejliny dotychczas nie przepadające za surową carową. Oburzano się, że biegające i głośno zachowujące się dzieci zakłócają chorej spokój. To mało prawdopodobne, uwzględniając wielkość pałacu (1050 komnat) i odległość od apartamentów carowej.

Car czuł się coraz bardziej zmęczony, marzył, aby oddzielić monarchę od człowieka, coraz częściej mówił, że po dokończeniu reform wyjedzie z Katią i dziećmi do Nicei lub Liwadii na Krymie, a władzę przekaze następcy. Chciał też uporządkować sprawę swojej drugiej rodziny i 11 lipca 1874 r. w Carskim Siole podpisał specjalny dekret, w którym przyznał Jekatierinie Michajłownie Dołgorukiej tytuł najjaśniejszej księżny Juriewskiej, jej dzieciom już żyjącym (dwójka) i przyszłym (dwoje uro-

dziło się już po tym dekreście) wszelkie prawa należne szlachcie i tytuły książęce z prawem używania tytułu „najjaśniejszy/a”.

Łącznie w tym związku urodziło się czworo dzieci; syn Borys zmarł w niemowlęctwie, a ostatnia córka Jekatierina w 1878 r. Wszystkie dzieci miały prawo używać patronimikum Aleksandrowicz (Aleksandrowna). Dekret ten nie został przekazany do Senatu w celu publikacji, a oddany generałowi Rylejewowi z prośbą o przechowanie do stosownego momentu. Nazwisko Juriewska nie było przypadkowe, nawiązywało do Jurija Dołgorukiego – założyciela Moskwy.

Carowa Maria Fiodorowna zmarła 22 maja 1880 r. Jekatierina Michajłowna nie uczestniczyła w pogrzebie 28 maja w soborze Pietropawłowskim. Jak wspominają świadkowie ceremonii, „oślepiające zygzażki błyskawic przecięły pociemniałe niebo; Car zadrżał”. W swoim dzienniku pod datą 22 maja odnotował: „Boże przyjmij jej duszę i przebacz mi moje grzechy. Dziś kończy się moje podwójne życie. Jest mi przykro, lecz Ona (Katia) nie kryje radości. Od razu mówi o zalegalizowaniu sytuacji; ten



Pałac Zimowy

brak zaufania rani mnie do żywego. Zrobię dla niej wszystko, ale nie wbrew interesom państwa” (Montefiore, „Romanowie”, s. 498).

Jej zgon pozwalał carowi na uregulowanie swojego życia osobistego. W obawie, że może zginąć bez uregulowania statusu ukochanej kobiety i trójki dzieci – po zaledwie czterdziestodniowej żałobie w wielkiej tajemnicy w prowizorycznie zorganizowanej cerkwi polowej, w jednej z komnat pałacu w Carskim Siole 6 lipca odbył się ich tajny ślub. Ojciec Bażenow, który udzielał ślubu Aleksandrowi z Marią, odmówił udziału w ceremonii. Ślubu udzielił ojciec Ksenofont Nikolski, protojerej cerkwi Pałacu Zimowego.

W ceremonii uczestniczyli wyłącznie generałowie-adiutanci A. Rylejew i hrabia E. Baranow w charakterze drużbów (trzymali korony nad głowami nowożeńców) oraz minister dworu A. Adelberg. Następnie wszyscy podpisali akt ślubu. Ze strony panny młodej była jej siostra Maria i nieodłączna W. Szebeko. Uroczystość zakończyła skromna kolacja w gronie uczestników i przejażdżka nowożeńców z dziećmi i W. Szebeko po Ogrodzie Letnim.

Niezależnie od niebezpieczeństwa i powtarzających się zamachów Katia zawsze chciała być obok cara, jeździć z nim w tym samym pociągu, na który polowali terroryści. Chciała, by car czuł, że jest kochany, a ona, gotowa na wszystko, chce być zawsze z nim.

Car był coraz bardziej zmęczony władzą, napięciem z powtarzającymi się aktami terroru i atmosferą w rodzinie. Dążył do akceptacji jego drugiej żony i dzieci przez całą rodzinę. Po miesiącu zaprosił na obiad najbliższą rodzinę, ale spotkał się z obstrukcją wobec żony, kłopotliwym milczeniem, spojrzzeniami omijającymi małżonkę. Szokiem dla nich była prezentacja dzieci, zwłaszcza serdeczny stosunek ojca do nich.

Damy dworu związane ze zmarłą carową nie kryły swej wrogości. Urządziły

prawdziwy exodus; car nie próbował ich zatrzymać. Latem małżonkowie pojechali na wypoczynek do Liwadii. Syn Aleksander i jego żona o tym, że będzie tam Jekatierina, dowiedzieli się na stateczku wiozącym ich do Jałty.

Dotychczas podczas pobytu w Liwadii Katia mieszkała w odrębnej willi. Teraz zajęła apartamenty zmarłej carowej – co wywołało nową falę oburzenia. Wszyscy powoływali się na obronę pamięci o zmarłej carowej. Żona następcy tronu (rówieśnica Jekatieriny) była oburzona, że jej dzieci bawią się z „bękartami Odaliski”. Określenia „intrygantka” i „awanturnica” należały do łagodniejszych.

We wrześniu car przekazał dyspozycję, by przelano do Banku Państwowego kwotę 3302900 rubli na nazwisko Jekatieriny Dołgorukowej, dodając: „Jej jedynej daję prawo dysponowania tym kapitałem za życia mego i po śmierci”. W listopadzie napisał serdeczny list do syna powierzając jego opiece żonę i dzieci. Car wierzył w dobre serce syna i miał nadzieję, że spełni jego prośbę. I tym razem car się pomylił: syn nie tylko w sprawach państwowych, ale i w rodzinnych ignorował wolę ojca.

Tymczasem trwały poufne przygotowania do koronacji. Car prosił o odszukanie w archiwach moskiewskich dokumentów związanych z koronacją Katarzyny I. Samą ceremonię zaplanowano na 1 sierpnia 1882 r. Katia przygotowała piękną haftowaną suknię i płaszcz koronacyjny obramiony gronostajami (będzie ją pokazywać po wyjeździe z Rosji).

Poufna informacja wypłynęła, rodzina wpadła w popłoch, że w przypadku śmierci cara zechce walczyć o tron jako Katarzyna III. Następcą tronu i jego żona stali się jej nieprzejeđnymi wrogami.

Podobno Aleksander II planował umieszczenie syna Georgija na tronie bułgarskim. Bardzo troszczył się o jego wychowanie i kształcenie, sam poświęcał mu wiele uwagi, prowadził z nim długie roz-

mowy. Obawy o zakusach syna Gieorgija na tron rosyjski były bezzasadne. Obawiano się, że Aleksander akcentując starożytność rodu Dołgorukich daje im do zrozumienia, że wątpliwe pochodzenie matki następcy tronu może być atutem.

Aleksander miał nadzieję, że sprawy się ułożą i po zrzućeniu brzemienia władzy spędzi spokojne i szczęśliwe lata z nową rodziną. Wyścig z czasami i terrorystami przegrał; 1 marca 1881 r. (w przededniu ogłoszenia konstytucji) zginął w zamachu. Zrozpaczona Katia ścięła swe piękne kasztanowe włosy, zrobiła z nich wianek i włożyła do trumny cara.

Na zabobonnym rosyjskim dworze zaczęto sobie przypominać wiele tzw. „tajemniczych znaków” i widziano w nich swoistą mistykę. Na przykład ślub z Dołgoruką o trzeciej trzydziści i zgon o tej samej porze, upuszczenie berła przez Gorczałkowa w czasie koronacji, koronę, która się zsunęła z głowy Marii Fiodorowny, rok 1866 – początek związku Aleksandra z J. Dołgoruką i pierwszy zamach na cara. Kanię, która rozszarpała gołębia na parapecie pałacu porównywano z Katią (która zgubiła cara). Wniosek był jeden: „kara boża za grzeszny związek” i „zgubne reformy”. Wcześniejsze romanse poprzednich carów i ich liczne nielegalne potomstwo zostały rozgrzeszone w oczach dworu.

Odwrócili się od niej także ministrowie, kiedyś stronnicy Aleksandra II i życzliwie traktujący jego nową rodzinę, frejliny miały już nową carową, która jej nie akceptowała i stworzyła zgodną koterię potępiających. W sytuacji, w jakiej się znalazła, nie mogła załatwiać awansów i apanaży, stanowisk na dworze. Zarzucono jej branie bardzo wysokich łapówek od zagranicznych przedsiębiorców w zamian za koncesje na budowę linii kolejowej, zakładów przemysłowych. Jak się wyjaśniło później – łapówki brała pazerna W. Szebeko, powołując się na zażyłość z Katią i carem; sama Dołgorukaja prawdopodobnie o niczym nie wiedziała.



Car Aleksander III

Inteligentna Katia właściwie oceniła swoją sytuację na dworze i opuściła go na zawsze. Potwierdziła się stara zasada zakłamanego dworu: tajne romanse na pęczki były akceptowane (co najwyżej po cichu poplotkowano o nich, frejlinie znaleziono zamożnego lub utytułowanego małżonka). Do prawdziwej miłości i serdecznych stosunków rodzinnych nawet car nie miał prawa; etykieta i gra pozorów ponad wszystko!

Po śmierci cara Katia znalazła się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Zgodnie z prawem mogła pozostać w Pałacu Zimowym, ale nowy car nie chciał zamieszkać z nią pod jednym dachem. Pod pretekstem względów bezpieczeństwa przeniósł się z rodziną do Gatczyzny. Oficjalnie nie zażądał opuszczenia pałacu, ale zadysponował wyłączenie ogrzewania i inne utrudnienia, oświadczył jej, że jej miejsce jest w klasztorze, a nie w pałacu.

Katia przeniosła się do Małego Pałacu Marmurowego (nazywanego różowym), podarowanego jej przez małżonka; tam chciała otworzyć muzeum Aleksandra II. Niestety, z wykazu przedmiotów, które podarował jej małżonkowi, nowy car wiele wy-

kreślił, pokazując swoją małośćkowość dochodzącą do absurdu. Obok takich eksponatów jak szabla, przybory do pisania z biurka Aleksandra, czy mundur, w którym car brał ślub i wielu innych drobiazgów, nie mających wartości materialnej, umieszczał adnotacje typu: „nie, „nie oddam”, „tego ona nie dostanie”, „to zostawię sobie” itp. Wykaz skrócił się do jednej czwartej. Katii udało się wywieźć część listów Aleksandra pisanych do niej, swoich nie odzyskała.

Wkrótce opuściła Rosję, mieszkała w luksusowych rezydencjach na Riwierze i w Paryżu. Żyła głównie pamięcią o Aleksandrze, stworzyła namiastkę jego gabinetu, do końca życia przechowywała jego zakrwawiony mundur, suknię i płaszcz przygotowane na koronację, do której nie doszło.

Pod względem liczby Rosjan w ówczesnej Nicei nazywano ją „francuską Jałtą”. Wszyscy traktowali Jekatierinę z szacunkiem jako członka rodziny carskiej. Wielcy książęta Włodzimierz i Aleksy złożyli jej grzecznościową wizytę podczas swego pobytu w Paryżu. Z Aleksym łączyły ją przyjacielskie kontakty.

Kiedy dzieci podrosły przyjechała do Rosji, by wprowadzić je w kręgi arystokracji petersburskiej. Organizowała przyjęcia. W salonie w tzw. „pałacu różowym” zbierało się elitarne towarzystwo; czym doprowadzała do irytacji Aleksandra III, robiąc jej aluzje, że jej przyjazdy nie są mile widziane. Dzięki protekcji wielkiego księcia Aleksego syn Georgij został przyjęty do rosyjskiej marynarki wojennej.

Niestety, wspaniale zapowiadający się młodzieniec nie spełnił pokładanych nadziei: wyrósł na lowelasa i za złe prowadzenie został wydalony. Później (też dzięki protekcji) trafił do gwardii; zmarł w 1909 r. Kiedy przyjechała po raz kolejny do Rosji – już za panowania Mikołaja II – nowy car nie chciał się z nią spotkać, ani być drużbą na ślubie jej córki Olgi z hrabią Merenbergiem.

Podczas pierwszej wojny światowej ze środków własnych ufundowała szpital dla rannych żołnierzy rosyjskich i francuskich, oraz dom opieki dla rosyjskich staruszek, które żyły samotnie na emigracji. Do końca życia nosiła żałobny strój; mimo że otaczała ją liczne towarzystwo – zachowywała się skromnie, jak przystało wdowie. Zmarła w 1929 roku. Przeżyła nie tylko całą dynastię, która odmawiała jej prawa do miłości, ale i Imperium. Pozostawiła po sobie pamiętniki, które są znakomitą ilustracją atmosfery i mentalności ówczesnej Rosji.

Po rewolucji w archiwum Aleksandra II znaleziono wiele rysunków erotycznych, przedstawiających Katię podczas ich intymnych spotkań, czym epatowano społeczeństwo, dyskredytując moralność rodziny carskiej (podobnie jak i tendencyjnie dobranymi fragmentami pamiętników Katarzyny II).

Losy dzieci Jekatieriny Juriewskiej i Aleksandra II

Najstarszy syn po wyjeździe do Francji ukończył liceum Condorcet, później studiował na Sorbonie, a po śmierci Aleksandra III wrócił do Rosji. Po ukończeniu edukacji w morskim korpusie kadetów służył na krążowniku „Rynda”, a później był oficerem gwardii. W 1900 r. ożenił się z córką księcia Oldenburskiego. W tym małżeństwie urodził się jeden syn Aleksander, a w 1908 r. małżeństwo się rozpadło. Po rozwodzie długo leczył się w Niemczech; zmarł w 1913 r. w Marburgu, a został pochowany na cmentarzu prawosławnym w Wiesbaden.

Córka Olga wyszła za mąż w 1895 r. za hrabiego N. Merenberga (wnuka A. Puszkina). Z tego związku pojawiło się liczne potomstwo, które mieszka w Europie Zachodniej. Zmarła w 1925 r. w Wiesbaden, a została pochowana na cmentarzu prawosławnym obok brata.

Najgorzej ułożyły się losy najmłodszej córki Aleksandra i Katii. W 1901 r. wy-

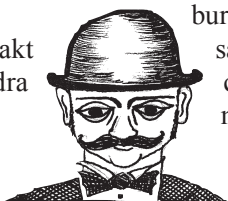
szła za mąż za księcia A. Baratyńskiego, urodziła dwóch synów, a w 1910 r. została wdową. Po śmierci męża z synami przyjechała do Rosji. W 1916 r. w Jałcie powtórnie wyszła za mąż za księcia S. Oboleńskiego, który podczas wojny domowej walczył w szeregach „białej armii”. W 1920 r. wraz z rodziną wyjechała do Francji, a w 1924 r. rozwiodła się z mężem.

Po rozwodzie została śpiewaczką koncertową, śpiewała w języku rosyjskim, francuskim, włoskim i angielskim. Na początku lat trzydziestych zachorowała na astmę. Przeprowadziła się do Anglii, początkowo była śpiewaczką w klubie nocnym w Anglii, później żyła z zapomogi przyznanej przez królową Marię, wdowę po Jerzym V. Po jej śmierci (1953) zaczęła wyprzedawać resztę dobytku. Zmarła w przytułku na Hayling Island w 1959 r. W pogrzebie uczestniczyły tylko 2 osoby – były mąż i bratanek.

Z obecną Rosją utrzymuje kontakt prawnuk J. Juriewskiej i Aleksandra

II – Georgij Aleksandrowicz Juriewski, wnuk syna Georgija, obywatel Szwajcarii, urodzony w 1961 r. Po raz pierwszy przyjechał do Rosji za czasów B. Jelcyna. Ukończył uniwersytet w Zurychu (wydział prawa i wydział ekonomiczno-finansowy). Po raz pierwszy przyjechał do Rosji w 1991 r. Jest dobrze prosperującym biznesmenem w dziedzinie technologii komputerowych i obrotu nieruchomościami, poza tym kolekcjonerem dzieł sztuki. Organizuje wystawy dzieł sztuki, współpracuje z muzeami rosyjskimi, z cerkwią prawosławną, uczestniczy w akcjach charytatywnych, jest członkiem Rady Patronackiej Uniwersytetu Europejskiego w Petersburgu, który mieści się w Małym Pałacu Marmurowym (ostatniej przystani Jekatieriny Juriewskiej w Rosji).

W 2010 r. przeniósł prochy swoich rodziców do rodzinnego grobu w Petersburgu. Jedyne żyjące prawnuce Aleksandra II w prostej linii, deklarujące miłość do kraju przodków, nie mówią po rosyjsku. □

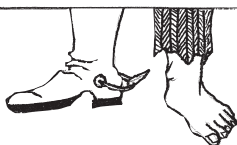


BUNT MAS

Młody muzyk w czasie rozmowy z wielkim kompozytorem, twórcą między innymi takich oper jak *Faust* i *Romeo i Julia*, Charles'em Gounodem zwierzył mu się ze swoich poglądów na sztukę:

– Trzeba skończyć z tradycjami i profesorami! To właśnie tradycje i profesorowie ograniczają i rujną indywidualność artysty!

– Ma pan rację – rzekł Gounod. – Precz z ojcami, niech będą same dzieci!



ALICJA GÓROWSKA

TRZECI WIEK – CZWARTY BIEG

„Trzeci wiek – czwarty bieg” – tak skostatował nasze spotkanie profesor Michał Chorośnicki, gdy wpadliśmy na siebie, na korytarzu w Collegium Novum UJ, gdzie właśnie skończyłam zajęcia na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Roześmialiśmy się oboje. Coś w tym stwierdzeniu jest na rzeczy. Dla tych, którzy nie jeżdżą samochodem dodam, że bieg czwarty to bieg idealny do poruszania się po mieście, wrzucony powyżej prędkości 30 km/h oznacza ekonomiczną jazdę. Jazdę codzienną po „ulicy pozostałych lat”.

Tak, tak, gdy się skończy 60 lat i przejdzie na emeryturę, rozpoczyna się starość, przynajmniej tak głoszą uczeni tego świata. W literaturze anglosaskiej stosowany jest podział starości na trzy cykle:

- młodzi starzy (young old), czyli osoby w wieku 60/65–74 lata,
- starzy starzy (old old), to osoby w wieku 75–84 lata,
- najstarsi starzy (the oldest old), czyli osoby w wieku 85 lat i więcej.

A czym jest „starość”, „starzenie się”?

Jej definicji jest wiele (A. Zych, S. Kłownik, Z. Szarota, T. Kirkwood). Wydaje się, że ta, którą przedstawiła profesor Elżbieta Trafiałek, jest najpełniejsza:

(...) starość jest naturalną fazą życia, następującą po młodości i dojrzałości, wieńczącą dynamiczny proces starzenia się. Określana mianem końcowej trzecji życia, utożsamiana jest ze spadkiem wydolności organizmu, utratą mobilności, osłabieniem sił immunologicznych (starość biologiczna, fizjologiczna), ograniczeniem zdolności przystosowania się do wszelkich zmian, a w kontekście socjoekonomicznym

– nierzadko też pauperyzacją, samotnością (starość psychiczna), koniecznością korzystania z pomocy innych (starość ekonomiczna) i funkcjonowaniem na marginesie życia społecznego (starość społeczna).

Już od zarania dziejów postawa wobec starości miała dwa aspekty jej traktowania: postrzeganie ludzi starych jako ciężaru społecznego (gerontofobia), lub przeciwnie: ludzie starzy traktowani byli z poszanowaniem, posiadali prestiż społeczny (gerontokracja). Na przestrzeni wieków, w różnych epokach sposób traktowania ludzi starych ewoluował, w zależności od oddziałujących emocji, sposobu myślenia i zachowania społeczności, w której żył człowiek w podeszłym wieku. I tak, starożytność nie była okresem miłym (choć były wyjątki) dla ludzi starych. W średniowieczu ludzie starzy w swej większości skazywani byli na izolację i cierpienie egzystencjalne. Z drugiej strony jako ci, którzy posiadali tzw. doświadczenie życiowe (mądrzy życiowo, choć niepiśmienni) niekiedy dświadczeni szacunku otoczenia. Późniejsze wieki stały się coraz łaskawsze dla ludzi w podeszłym wieku. Czasy najnowsze to okres, w którym zaczęto wyraźnie dostrzegać problemy ludzi starych i wychodzić im na przeciw.

Uczeni twierdzą, że nasz organizm jest zaprogramowany na to, by żyć około 120 lat. Wiek kobiet szacuje się obecnie (średnio) na osiemdziesiąt jeden lat, a mężczyzn na siedemdziesiąt pięć. Jak z tego wynika, sytuacja demograficzna tej grupy społecznej zaczęła się gwałtownie zmieniać. Ludzi po sześćdziesiątym roku życia gwałtownie przybywa. Ma na to wpływ prócz wydłużenia życia, ujemny przyrost

naturalny, zmiana modelu rodziny (brak rodzin wielopokoleniowych), emigracja ludzi młodych itp. Jak prognozują Główny Urząd Statystyczny, w Polsce do 2035 r. udział osób w wieku 65 lat i więcej zbliży się do 1/4 populacji.

Powracając do definicji starości, pragnę zwrócić uwagę na cztery jej elementy.

Starzenie biologiczne, fizjologiczne

Starzenie się w wymiarze biologicznym polega na zmniejszaniu zdolności regeneracyjnych, czyli na spadku zdolności samoodnawiania się **komórek i tkanek**. Proces ten nie przebiega u wszystkich jednakowo. Są osoby młode wiekiem metrykalnym, a ich „zużycie” organów wewnętrznych i zewnętrznych (styl życia, czynniki zewnętrzne) wskazuje na wiek biologicznie znacznie starszy. Zdarzają się również sytuacje odwrotne. Na proces starzenia bez wątpienia mają wpływ czynniki genetyczne, warunki egzystencji, preferowany styl życia i nawyki.

Jedną z pierwszych cech starzenia biologicznego jest znaczne obniżenie sprawności i wytrzymałości fizycznej (**układ ruchu**), utrata masy mięśniowej i kostnej oraz wody. Co powoduje m. in. obniżenie wysokości ciała, bóle stawów, osteoporozę.

Skóra pozbawiona wody przestaje być jędrna. Pojawiają się zmarszczki, przebarwienia i redukcja tkanek podskórnych, co powoduje zmianę kształtu ciała.

Zmianie ulega również **układ krwionośny**, ściany naczyń krwionośnych są pogrubione, sztywne, co powoduje zmniejszenie się ich średnicy. Ten stan rzeczy często wpływa na niedokrwienie narządów i tkanek organizmu (chłodne ręce i stopy). Pojawiają się zmiany miażdżycowe przyczyniające się m.in. do zawałów serca i udarów mózgu. Żyły stają się kruche, nasila się tendencja do zwiększenia krwaków i siniaków. Powstają żylaki. Chorobami wieku senioralnego są m.in. arytmia, niewydolności



serca, nadciśnienie tętnicze i choroba wieńcowa.

W tym okresie zmienia się też układ oddechowy, płuca tracą sprężystość – przez co stają się podatne na infekcje, utrudnione jest wydalanie śluzu. Osłabiona jest praca mięśni oddechowych, ilość oddechów maleje. Prowadzi to do takich chorób jak zapalenie płuc, POCHP (przewlekła obturacyjna choroba płuc) czy astma.

Osłabiony jest układ immunologiczny, co sprawia, że organizm z trudem walczy z wszelkiego rodzaju infekcjami. Bywa, że wytwarza przeciwciała skierowane na białka swojego organizmu, co powoduje powstanie reumatoidalnego zapalenia stawów czy tocznia rumieniowatego.

Spowolnieniu podlega również układ hormonalny, obniża się poziom wydzielania hormonów – m.in. testosteronu i androgenów. Może pojawić się cukrzyca, niedoczynność tarczycy czy bezsenność. W podeszłym wieku daje się zauważyć utratę apetytu. Występują częste zaparcia spowodowane zmniejszoną perystaltyką jelit, znaczną redukcją flory bakteryjnej, zaburzeniem wydzielania soków żołądkowych.

Układ moczowo-płciowy różni się pomiędzy płciami. Kobiety tracą płodność w okresie menopauzy. Mężczyźni swą sprawność seksualną utrzymują do końca



życia, choć z wiekiem ulega ona osłabieniu, niekiedy występuje przerost prostaty. U kobiet natomiast może wystąpić nietrzymanie moczu, infekcja cewki moczowej lub wypadanie macicy. Po czterdziestym roku życia następuje osłabienie funkcjonowania nerek, co może doprowadzić do ich niewydolności.

W okresie trzeciej fazy życia zmienia się również układ nerwowy – masa mózgu ulega zmniejszeniu, co powoduje zaburzenia koncentracji uwagi i pamięci. Koordynacja ruchowa zostaje znacznie osłabiona. Podobnie osłabione zostają takie zmysły jak słuch (niedosłuch), wzrok (dalekowzroczność, zaćma), węch i smak. Występują również takie choroby jak otępienie starcze (choroba Alzheimera).

Starość psychiczna

To co się dzieje w tzw. późnym, dojrzałym wieku, jest wypadkową i odzwierciedleniem tego, co działo się we wcześniejszych latach życia. Można tu wyróżnić kilka zadań rozwojowych późnej dorosłości, które determinują życie ludzi w podeszłym wieku.

Pierwszym zadaniem jest akceptacja pogorszenia się stanu zdrowia i obniżenia sił fizycznych (przystosowanie się do inwalidztwa).

Następnym elementem jest przystosowanie się do przejścia na emeryturę. Ten czas u większości wiąże się z dużym stresem. Człowiek nieprzygotowany do przejścia na emeryturę staje przed problemem: co z sobą zrobić? Jak wypełnić „darowany” mu wolny czas? Dlatego tak ważne jest przygotowanie się na tę następną fazę życia. Szczęśliwi są ci, którzy posiadają jakieś zainteresowania, pasje. To czas dla ich rozwijania.

Ogromnym problemem tej fazy życia jest przystosowanie polegające na pogodzeniu się ze śmiercią współmałżonka (partnera). „Przepracowanie” żałoby, ułożenie sobie życia bez ukochanej osoby. Również dużą traumą jest opuszczenie domu przez ostatnie dziecko.

Dużą traumą dla niektórych seniorów jest też utrata pozycji społecznej.

W tym czasie utracie podlegają kontakty ze znajomymi (czy to z byłymi pracownikami, współpracownikami) i kontakty towarzyskie związane z byłym miejscem pracy. Dużym piętnem na psychice człowieka starego odbija się odejście na wieczność przyjaciół, z którymi w przeszłości miał ścisły kontakt.

Nie bez znaczenia jest utrata części byłych zarobków, które to determinują komfort życia (lub jego brak) w dojrzałym wieku.

Jak się nie dać starości?

Jak mówią mędrcy: starość to mądrość i doświadczenie. Oznacza to między innymi, że człowiek dojrzały powinien nabyć umiejętności panowania nad emocjami w sytuacjach trudnych, kryzysowych. Dostrzegać piękno, cieszyć się nawet z małych sukcesów, nauczyć się żyć w nowych warunkach. Mądrość pragmatyczna, która została nabyta na bazie doświadczeń życiowych, pozwala człowiekowi dojrzałemu lepiej kierować własną egzystencją i wykształcić pozytywne wzorce radzenia sobie w trudnych sytuacjach.

Kolejnym zadaniem jest nabranie dystansu wobec zdarzeń, na które nie ma się wpływu. Ważne jest tu zachowanie pogody ducha, jakże często niedostającej ludziom w podeszłym wieku („z czego mam się cieszyć?”).

Niezwykle istotne jest zachowanie sprawności intelektualnej i psychicznej, czemu sprzyjają kontakty towarzyskie i uczestnictwo w różnego rodzaju zajęciach edukacyjno-kulturalnych. Te ostatnie dodatnio wpływają na samorealizację seniorów.

Pielęgnowanie i realizowanie potrzeb duchowych z upływem lat staje się dla człowieka dojrzałego wartością cenioną najwyższą. Ludzie w podeszłym wieku, zmierzający do kresu żywota, mogą odnajdować w religii radość i ukojenie. Tę samą potrzebę duchową mogą pielęgnować ateści i wyznawcy szeroko pojętego humanizmu.

Wolontariat (w domach pomocy społecznej, domach dziecka, szpitalach, hospicjach, pomoc sąsiedzka itd.) dla wielu osób starszych (często samotnych) zaspakaja ich potrzebę przynależności do grupy.

Umiejętne kształtowanie i wdrażanie nawyków prozdrowotnych to następne zadanie, które winien realizować człowiek starszy. Powodują one znaczne opóźnienie procesu starzenia organizmu.

Niektóre instytucje wspierające seniorów

Gdy mówimy o pomocy dla osób starszych, w większości w pierwszym odruchu myślimy o profesjonalnej opiece w domach pogodnej starości i opiekunkach domowych, oraz różnego rodzaju poradniach geriatrycznych. Celem działania tych ostatnich jest kompleksowe podejście do pacjentów w wieku podeszłym, obarczonych chorobami przewlekłymi, wymagających wielokierunkowych działań lekarskich, pielęgniarskich, rehabilitacyjnych itp.

Rośnie również zapotrzebowanie na poradnictwo psychologiczne, którego celem



jest praca nad pokonaniem trudności i kryzysów charakterystycznych dla osób wkraczających w trzeci wiek.

W wielu miastach powstały programy skierowane do mieszkańców, którzy osiągnęli wiek 60 plus. Tak jest m.in. w Krakowie.

„Celem głównym Programu jest przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu seniorów w Krakowie dla godnego starzenia, realizowane poprzez cele szczegółowe:

- Podniesienie poziomu świadomości seniorów na temat działań podejmowanych przez miasto na rzecz seniorów i we współpracy z seniorami.

- Podniesienie poziomu aktywności społecznej seniorów.

- Zwiększenie liczby działań profilaktycznych w obszarze zdrowia realizowanych na rzecz seniorów.

- Rozszerzanie pakietu drobnych usług społecznych realizowanych na rzecz seniorów oraz oferty pomocowej dla seniorów.

- Zwiększenie poziomu bezpieczeństwa seniorów.”¹

¹ Program aktywności społecznej i integracji osób starszych na lata 2021-2025 (Uchwała NRL II/1454/21 Rady Miasta Krakowa z dnia 27 stycznia 2021 r.)



UNIwersYTET TRZECIEGO WIEKU

W/w cele realizowane są w tzw. Centrach Aktywności Seniorów, w Krakowie. W 2020 roku było ich 46. Założenia są szczytne, ale moje wątpliwości budzą pytania: ilu seniorów zna ów Program; czy wiedzą, gdzie mieszczą się Centra i czy zaplanowane w nich zajęcia spełnią ich oczekiwania?

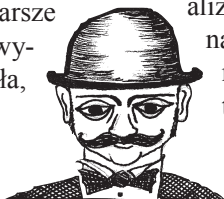
Z moich obserwacji wynika (mieszkam na osiedlu, gdzie seniorów jest ok. 40-50% ogółu mieszkańców), że osoby starsze najczęściej rezydują w domach, wychodzą jedynie do sklepu i kościoła,

a życie towarzyskie ograniczają do przypadkowych spotkań na ulicy.

Wydaje mi się, że uczestnictwo starszych osób w zorganizowanych grupach w dużej mierze zależy od stopnia wykształcenia jednostki, ciekawości świata, potrzeby kontaktów z ludźmi. Dlatego tak dużym powodzeniem cieszą się uniwersytety trzeciego wieku, gdzie z reguły jest szeroka oferta zajęć w różnych dziedzinach: od prozdrowotnych, przez historyczne, ikonograficzne, po polityczne oraz zajęcia gimnastyczne, komputerowe, naukę języków obcych itp. (tak przynajmniej jest na Uniwersytecie Trzeciego Wieku przy Uniwersytecie Jagiellońskim).

Ten artykuł nie wyczerpał do końca zagadnień związanych z tzw. problemem ludzi trzeciego wieku, ale je jedynie zasygnalizował.

Trzeci wiek to walka o zachowanie równowagi fizycznej i psychicznej, a zrealizujemy ją poprzez stały rozwój oraz nadanie charakteru i sensu swojemu życiu. Czyli: włączmy czwarty bieg! □



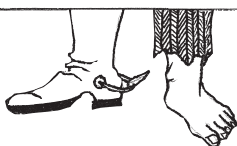
ŚMIERĆ

Kiedy kardynał Mazarin, nagminnie zaniedbujący swoje obowiązki religijne dla polityki, umarł, urzędnik dworski zawiadomił o tym Ludwika XIV słowami:

– Wasza Królewska Mość, kardynał oddał przed chwilą duszę Bogu.

Jeden z dworaków dorzucił skwapliwie:

– Sire, mam wątpliwości co do tego, czy Bóg ją przyjmie.



GORZKI SMAK PAPIESKIEJ KREMÓWKI

Kilka dni temu całkiem przypadkowo znalazłem się w Wadowicach. To, że niemal całe życie tego miasteczka zostało podporządkowane postaci Karola Wojtyły – nie budzi mojego zdziwienia. Wszak nieczęsto małej miejscowości, zagubionej gdzieś u stóp Beskidów, trafia się przywilej stania się miastem papieskim. Hen, gdzieś w słonecznej Italii takich papieskich miasteczek i całkiem małych wiosek jest wiele. To sprawia, że nazwa „miasto papieskie” nie budzi tam tylu skojarzeń i pozytywnych konotacji.

Tak więc spaceruję po rynku wadowickim. Oglądam odbywający się akurat zlot starych samochodów – oczywiście uszeregowanych naprzeciwko TEGO kościoła. Próbuje zliczyć kramiki, sklepiki i stoiska poświęcone kultowi Jana Pawła II. Oferta handlowa wszędzie taka sama, wszędzie tandeta, pełna dmuchanych chińskich plastików.

Nagle przypomina mi się pielgrzymka czcigodnego gościa do Polski z 1999 roku i jego wizyta w Wadowicach. Na telewizyjnym ekranie można było ujrzeć twarz starego człowieka zmęczonego wiekiem i postępującą chorobą. Znamy fakty świadczące o tym, jak Jan Paweł II nie mógł pogodzić się z narastającą bezsilnością, z nieposłuszeństwem ciała i skazaniem na bezruch. Czuł upokorzenie i krzywdę – choćby z tego powodu, że nie ma już sił wędrować po górach. Tych najbliższych, bo rodzinnych. Ten sędziwy kapłan mówił. Mówił, a zgromadzony na wadowickim rynku tłum słuchał. Słuchał, ale czy słyszał, o co mówcy chodziło?

Papież pięknie wspominał czas swojej młodości. („Tu wszystko się zaczęło...”). Pięknie wybrzmiały słowa o ludziach tamtych lat. O kolegach z wczesnej młodości. Padło wtedy nazwisko p. Haima Bałamuta, ży-

dowskiego właściciela kamienicy, w której mieszkali Wojtyłowie. Pojawiły się czułe słowa o szkole, o kole dramatycznym. Przypomniane zostały frazy z greckich tragedii, realizowanych przez młodych entuzjastów z wadowickiego gimnazjum. Podejrzewam, że gdyby się pojawił „w cywilu” i nie zapowiedziany na wadowickim rynku, chyba nikt by Go nie rozpoznał; ale jego wspomnienia pozostały niezmiennie.

Oczywiście nie wolno zapomnieć o słynnej frazie dotyczącej kremówek: „Tam była cukiernia, po maturze chodziliśmy tam na kremówki.” Twarz dostojnego gościa rozjaśniła się niemal łobuzerskim uśmiechem. Publiczność zareagowała spontanicznie. Kremówki! Wreszcie coś zwyczajnego, a nie jakieś tam rozważania na oderwane tematy.

I tu nastąpił wyraźny przełom. Zamiast liturgii słowa – liturgia kremówki. Start w oszałamiający biznes. Wszystkie cukiernie na wadowickim rynku (i nie tylko) od tamtego czasu sprzedają wyłącznie PAPIESKIE kremówki.

Pora na niewesołą refleksję. Ja wiem, że żaden drogowskaz nie podaży drogą, którą wskazuje. To, co wybrzmiało w homilii Jana Pawła II na wadowickim rynku miało swój sens. Tym sensem była miłość do małej ojczyzny, ciepłe wspomnienie ludzi, niezwykle szacunek do szkoły, do tego, co z niej pozostało w duszy...

Siedziałem na rynku pod kawiarnianym parasolem, obserwowałem wycieczkę, która absolutnie nie słuchała pani przewodniczki, mówiącej niemal na klęczkach, ale za to bez sensu. Wycieczka ziewała. Pani przewodniczka czyniła swoją powinność. Ja zaś zastanawiałem się, jakież to związki mają tandetne stragany, jarmarczny kicz, nieprofesjonalna pani przewodniczka ze słowami Sędziwego Kapłana. Można się nie zgadzać z tym, co mówił, ale może tak warto byłoby spróbować choć trochę zapamiętać? Kremówki jako jedyny plon apostołskiej wizyty...

Nagle wydało mi się, że kremówka ma jakiś gorzki smak. □

MARCHOŁT



BEATYFIKACJA

Mam już spory bagaż lat i byle co raczej mnie nie zdziwi. Przeżyte dziesięciolecia obfitowały w nadzieje i rozczarowania. Niejednokrotnie sama przed sobą musiałam przyznać się do naiwności, niezajomości życia, a nawet zwykłej głupoty. Zauważyłam, że najłatwiej dałam się nabrać „na emocje”. Podobno kobiety tak mają, ale wolę tylko mówić w swoim imieniu.

Zawsze byłam i wciąż jestem krytyczna wobec tego, co pokazuje nam instytucjonalny Kościół. Włączyłam telewizor, by spojrzeć na transmisję z uroczystości beatyfikacji Prymasa Stefana Wyszyńskiego i Elżbiety (Róży) Czackiej.

Spodziewałam się wielkiego widowiska. Nie chcę być złośliwa, ale ujrzałam wielkie „show”. Wielkie wielkością urzędowej pompy i parady. Szczególne uderzył mnie kadr ujmujący od góry zgromadzonych w Świątyni Opatrzności Bożej uczestników owej celebry. Widziałam znaczną część Świątyni wypełnioną duchownymi w pozłacanych ornatach. Reszta uczestników była szara różnymi odcieniami szarości. Gdzieniegdzie wyróżniały się stroje ludowe, ale kudy im do tłumu pozłacanych celebriansów...

W najważniejszym momencie odsłonięto portrety obojga błogosławionych. Niewidoma zakonnica i ksiądz Kościoła. Niby połączeni pracą w Laskach, a także inni. On – chłopak ze wsi, używający z lubością określenia „lud boży” wobec wiernych. Ambitny, czyjący misję, a jednocześnie określany nawet przez członków własnej rodziny jako chłodny, wyobcowany, strzegący własnej godności. Ona

– arystokratka, po utracie wzroku ucząca się na nowo świata, wykorzystująca cały swój osobisty majątek na stworzenie podstaw polskiej tyflopedagogiki. Podobno (jak twierdzą jej współcześni) nie miała w sobie nic z obiegowo wyobraźalnych zachowań arystokratki. Paradoks, prawda?

Siedziałam tak przed telewizorem, snułam różne refleksje, gdy usłyszałam głos wnuczki:

- Babciu, co ty oglądasz? A myślałam, że jesteś niewierząca...

- Tak, jestem, ale nie jestem niemyśląca. Popatrz na to złoto, na ten przepych.

- No, przecież za taką kasę, jaką wpakowali w celebry można by naprawdę pomóc niewidomym – moja wnuczka wykazała rozsądną postawę.

- Masz rację, te złote szaty, ten przepych...

- Babciu, a gdzie są ci niewidomi? – dociekała moja wnuczka.

I tu, mówiąc potocznie, zatkało mnie. Podczas liturgii pokazano kilka niewidomych osób i to tylko wtedy, gdy „wypadają”, by wzięły udział we mszy. Niewidomych – niewielu. Celebrytów i polityków – całe tłumy. Czy na takie proporcje zgodziłaby się beatyfikowana „Niewidoma Matka Niewidomych”? Tego nie wiem.

Wnuczka wyszła z pokoju wzruszając ramionami, a ja zostałam i przypomniałam sobie, co wiem o symbolice kolorów liturgii Kościoła Powszechnego. Nagle postawiłam sobie pytanie: Czy to co widziałam w telewizji to złoto, czy zaledwie pozłota?

Babcia

ZAGWAZDRANIE OGÓLNE

Jest 18 września 1939 roku. Miejscowość Jeziory (dzisiejsza Ukraina). Sytuacja tragiczna. Od zachodu inwazja Niemiec na Rzeczpospolitą, a od wschodu właśnie rusza nawała wojsk ZSRR. Pakt Ribbentrop – Mołotow (a właściwie: Hitler – Stalin) wchodzi w życie.

Tu właśnie w poczuciu beznadziei popełnia samobójstwo WITKACY – Stanisław Ignacy Witkiewicz. Dramaturg, malarz, fotograf, skandalista, a przede wszystkim filozof. Wizjoner, chociaż (jak to zwykle bywa) niechętnie słuchany, cho-

ciażby dlatego, że w swych rozważaniach za nic miał tzw. autorytety i świętości. Na tyle, na ile mógł, obnażał miałość systemów, udowodniał nieuctwo, piętnował bylejakość myślenia. Był przekorny, ale miał rację.

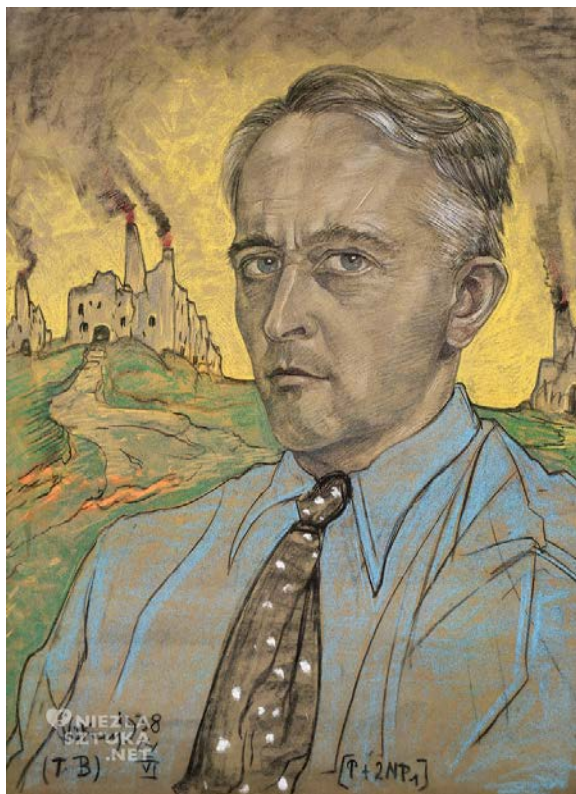
Aby przybliżyć (choć w małej skali) myśli Witkacego sięgnęliśmy do publikacji Jana W. Sarny pt.

„Stanisław Ignacy Witkiewicz. Myśli o Polsce, sztuce i filozofii”

wydanej w 1996 r. , w Kielcach przez oficynę wydawniczą STON 2.

P.A

ZAGWAZDRANIE OGÓLNE, CZYLI REFLEKSJE O NAS



Witkacy

Robi na mnie wrażenie, że cała Polska odrodzona jest zbyt napuszona, a zbyt mało realna.

Zagwazdranie ogólne, fazdrygółstwo (fazdrygowanie połączone z bałagółstwem) i gnypalstwo (grzebanie palcem w tym, czego traktowanie wymaga precyzyjnych instrumentów) doszło u nas do takich szczytów, że już łagodnie mówić i pisać o tym nie można.

Chodzi mi w tej chwili o uwydatnienie różnicy między Polską, a innymi krajami kuli ziemskiej w tym czasie, kiedy tworzyła się nasza zachodnia kultura. Na mnie robi to takie wrażenie, jak bym na względnie czystej i pięknej twarzy oglądał jakiś ropiejący wrzód. Przestańmy rozdymać fikcyjne wielkości naszej przeszłości i wmawiać w siebie, żeśmy mieli wszystko, i sztukę, i naukę, i hereetyków morowych, i filozofię,

i technikę, i diabli wiedzą co, bo w gruncie rzeczy mieliśmy to przeważnie urządzone, a w każdym razie zapoczątkowane przez obcych.

Historia Polski jest dla mnie po prostu jednym wielkim bółącym i wstydlwym błędem.

Ja historię znam zbyt mało, aby się tutaj w zbyt uczone dysertacje wdawać. Ale gdy czytałem kiedyś dzieje nasze, to wprost aż wyłem (chwilami) z oburzenia i rozpaczy i mimo woli pięści zaciskałem z wściekłości, że podobne rzeczy dziać się mogły, i że naród tak wielkimi możliwościami wewnętrznymi i zewnętrznymi rozporządzający tak mało istotnego i zdziałał i stworzył.

Co ruszyć jakiego Polaka, to wyłażą takie historie, że zdaje się, iż wszyscy to jakieś lordy co najmniej, a puszą się i w innych sferach „co-nie-miara”. A poczytać o jakim Albańczyku czy Finlandzie, albo

zgoła o Austriaku czy Lichtensteiniarzu – wszystko przyzwoite snardze – nikt się nie puszy, tym jest, czym go siła niewiadoma i on sam stworzyli.

Twierdzą, że zasadniczym stosunkiem Polaka do Polaka jest wzajemna pogarda, jeśli nie naturalna, to sztuczna, a to jest jeszcze gorzej. „*Morga castillana*” – piekielne podobno puszenie się i dżganie się o byle co kastylskich grandów i szlachciców, jest niczym wobec naszej „morgi”, ale raczej w ponurym znaczeniu praskim.

U nas każdy napusza się tak, aby móc na drugiego z pogardą patrzeć. Twierdzą, że u nas 85 procent ludzi, poza normalnym odżywianiem się, żyje, wprost tyje i puchnie z pogardy dla „bliźnich”. Jest to tak dalece potrzebne dla większości naszego społeczeństwa jak oddychanie. Nie karmieni pogardą dla innych ludzi tacy wiedną, zamierają, flaczeją i gasną marnie.



Portret Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów

Są złośliwości typu francuskiego, tzw. przeze mnie pachnące, na które można odpowiedzieć „fechtunkowo”, z zachowaniem honoru, do pewnego stopnia przynajmniej. Tych mało używa się w Polsce. U nas są w użyciu złośliwości śmierdzące, w odpowiedzi na które trzeba ponuro milczeć, bo każda odpowiedź, z wyjątkiem dokładnej, druzgocącej zupełnie psychoanalizy złośliwca i zaliczeniem go do niemytych dusz lub zimnych drani, zagwazduje tylko coraz gorzej ofiarę, nawalając na nią rykoszetem pokłady płynnych ekskrementów. Żyjemy w stanie masowego i indywidualnego zakłamania. Żeby nagle, znienacka odkłamać całą Polskę, społeczeństwo by tego nie wytrzymało – wstrząs ten mógłby zabić je, zjonizować, rozłożyć na elementy.

Nie bardzo mamy za co być wdzięczni naszym dawniejszym przodkom, którzy właśnie przez prywatę, czyli patrzenie za-

ledwie na dystans własnego, często parszywego życia, stwarzali dla następnych pokoleń coraz gorsze warunki bytu, zakończono katastrofą rozbiorów i setek lat niewoli.

Podnosząca się z każdą chwilą fala świństw, nadużyć i kradzieży w różnych branżach, i to w wyższych ich regionach, jest symptomem tego, jak wielkie „niedopatrzenie” muszą leżeć u jej źródła. Za granicą uderza jedna rzecz: precyzyjne wykonanie według najkorzystniejszego planu. U nas często w różnych dziedzinach ma się wrażenie, że plan robił nieuk, a wykonał niedołęga. Wchodzimy do wychodka „pierwszorzędnego” hotelu w miejscowości kuracyjnej. Mała, zupełnie ciemna sionka, której jedynym oświetleniem jest oko samego klozetu (drzwi dalsze są bez szkła). W ciasnej sionce tej mieści się umywalka bez mydła i ręcznika. Na cóż więc woda, kiedy umyć się ani wytrzeć nie można. □



Stworzenie świata

LI TEMPI DE NA VORTA

Mò nun so' piu'
li tempi de na vorta
ma sempre m'arricordo
le gite fòr d porta
quanno bastava
un ber bicchier de vino,
la fava, er pecorino,
un pezzo de pagnotta, na cantata,
pe' passa' quarche ora spensierata,
pe' fasse na risata
che te riconcijava co' la vita.
Benedetti, si,
gli tempi de na vorta
quanno bastava
una gita fòr de porta
na carezza, un sorriso
e er mondo te sembrava
un Paradiso!!!

Maristella



Stara uliczka w Rzymie

DAWNE CZASY

Minęły już te czasy
w jakich kiedyś się żyło
ale pamiętam zawsze
uczty, jakie w pobliżu domu się obchodziło,
kiedy wystarczała duża szklanka wina,
trochę bobu, sera owczego, pecorina*
kawał bochenka i wesołego śpiewania,
żeby spędzić parę godzin beztrudnych,
bez narzekania,
pośmiać się trochę
i pojednać się z życiem.
Błogosławione, no tak,
czasy, w jakich kiedyś się żyło,
gdy wystarczały uczty
jakie w pobliżu domu się obchodziło.
Trochę pieśzcot, uśmiechów nawzajem
I świat zdawał ci się
Rajem!!!

*Pecorino Romano (o metodach produkcji pecorino romano pisali po raz pierwszy Warrona i Pliniusz Starszy ok. 2000 lat temu; został stworzony na obrzeżach Rzymu; produkowany od 1884 r. głównie na Sardynii, w Lacjum i prowincji Grosseto w Toskanii).

Przekład polski
i notka objaśniająca:
Aldona Pałys.

I ZNOWU HAŠEK

Zbiór opowiadań czeskiego prześmiewcy pt. Historia Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa) raz jeszcze zagościł na naszych łamach.

Tym razem sięgnęliśmy do opowiadania „Świat Zwierząt”. Tekst na pierwszy rzut oka zabawny, ale to tylko pozory.

JAROSLAV HAŠEK

„ŚWIAT ZWIERZĄT”

Kto jest politykiem, musi przejść wielką szkołę życia, przede wszystkim musi się nauczyć oszukiwać ludzi. W polityce nie ma nic nieskazitelnie czystego. Większość polityków zbiera się po gospodach i śmieje się z tych naiwniaków, dzięki którym mogą tam chodzić. A kiedy w gospodzie pojawi się jeden z tych naiwnych poczciwców, który podchodzi do stołu i mówi: „Czołem panie pośle, jak stoi ta a ta sprawa?” – wówczas kolega poseł ostentacyjnie podaje mu rękę i zamienia z nim, z wyrazem żywego zainteresowania, kilka słów, usprawiedliwiając się skwapliwie, że ma pilną konferencję z tymi panami przy stole, ponieważ właśnie przy stole polityków nie mówi się o polityce, ale pije się piwo lub wino, a polityk rozmawia jak każdy inny człowiek i chce żeby mu ci naiwni marzyciele dali spokój. Ale zanim do tego dojdzie, musi przejść szkołę życia – i ja także osiągnąłem ów pierwszy stopień, by móc ludzi oszukiwać i manić, ponieważ zostałem redaktorem „Świata Zwierząt”, mając nadzieję, że ze „Świata Zwierząt” tylko mały krok do izby poselskiej. A tym, kto mi dodawał sił, był nieboszczyk Vaclav Fuchs. Dla interesu kazał się ochrzcić, żył ze zwierząt i ludzi. Był to pracodawca w najgorszym znaczeniu tego słowa. Nie tyle był mądry, co chytry. Umiał krzyczeć, ale kiedy go ktoś objechał, chował się w kąt. Był nienowoczesny, jeśli chodzi o formę czasopisma, ale kupił sobie na kredyt automobil. Człowiek ten umarł, a o umarłych tylko dobrze. Redaktora uważał za wyrobnika, a redak-

tor jego za idiotę. W ten sposób redaktor zawsze się godził ze swoim szefem. I w końcu wzajemnie się szanowali. Gdyby Vaclav Fuchs był politykiem i zajmował się zagadnieniami politycznymi, zostałby posełem. Ponieważ umiał krzyczeć, potrafił płakać, umiał udawać, a braki w zakresie inteligencji nadrabiał gadulstwem. Z poglądów politycznych był młodoczechem. I przyjął protektorat nad zwierzętami. Istnieją dwie książki podpisane przez Vaclava Fuchsa. Tytuł jednej z nich brzmi *Wszystkie gatunki psów, opisane i wyobrażone przez Vaclava Fuchsa*. Tę pierwszą przełożył z niemieckiego jego były redaktor Kukla, który swojemu szefowi na imieniny podarował to nazwisko Vaclav Fuchs. Druga książka nazywa się Świat porad. Zebrał Vaclav Fuchs. I to przełożył Kukla z niemieckiego, a nazwisko Vaclav Fuchs musiał już tam napisać z obowiązku. Czasopismo „Świat Zwierząt” jest w ogóle wyłącznie kompilacją przekładów z niemieckiego. Oryginalnego nie ma tam nic oprócz wierszy Ladislava Hajka (a i to w ostatnich czasach) i oprócz kilku reprodukcji gołębi garlaczcy itp. Jest to czasopismo popularne, czyli nienaukowe. Pamiętam, że musiałem sobie wymyślać zwierzęta.

- Co nowego będzie w numerze, panie redaktorze? – zapytywał pan Fuchs.

- Znów jakieś nowe zwierzę – odpowiadałem.

- Niech Bóg pomnaża!

Ilustracje wycinaliśmy z „Die Woche”, „Sport im Bild”, „Das Illustrierte Blatt”,

„Weite Welt” i innych niemieckich czasopism, a czasem z „Country Life” i z „La Vie a' la campagne”; teksty brano wyłącznie z czasopism niemieckich i wszystko to razem nazywało się „Jedynego rodzaju czasopismo czeskie”. Kiedyś opublikowaliśmy obrazek kotka trzymanego na rękach przez dziewczynę i podpisaliśmy „Kocur Mimi, ulubieniec mistrza Arbesa”. Był to obrazek reklamowy z „Odolu”. A jego willę w Kosirach nazwano „dom wariatów z bramą”. Miał gospozię, o której wszyscy myśleli, że jest jego małżonką. I miał dobrą żonę, o której sądzono, że jest służącą. Po jego śmierci to się odwróciło. Panna Drahocka została kucharką, a z pani Fuchsovej stała się dama. To właśnie czasopismo „Świat Zwierząt” spowodowało w mojej duszy całkowity przełom polityczny. To, co robiono tam detalicznie, w polityce robi się hurtem. Tylko oszukując całe społeczeństwa, jednostki mogą żyć wygodnie. Pisaliśmy o ubogich psich proletariuszach, którzy o głodzie, pod deszczem razów kulą się w kątku, a kiedy podniosą głos, są znowu bici; natomiast woźny Čížek bił psy, które znajdowały się w psiarni „Świata Zwierząt”, że aż hej. A kiedy w nocy szczekanie psów budziło przyjaciela zwierząt Vaclava Fuchsa ze snu, podnosił się Čížek ze swego barłogu z bykowcem w rękę i tłukł tych psich rewolu-



Jaroslav Hašek

cjonistów. Tak się robi także politykę. Stara panna Drahocka kupiła mi kiedyś trzy koszule dla wyrównania rachunku nieściągalnego inseratu tej firmy w naszym czasopiśmie, potrąciła za nie pełną cenę z mojej gaży i rozповідаła wszędzie, jakie mi wyświadczyła dobrodziejstwo, chociaż ja tych trzech koszul nie potrzebowałem, i twierdziła, że wie, że jej kiedyś odpłacę za to niewdzięcznością. Ale ja dziękuję jej niniejszym, podobnie jak dziękuję całemu „Światu Zwierząt” za to doświadczenie, które włączyliśmy do programu Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa), zawarte w tym pięknym zdaniu: „Rób, co chcesz, ale o sobie mów zawsze jak najlepiej!” □



LUCYFER

Fakt, że na biurku Woltera ujrzano Biblię, wywołał wśród zaproszonych gości niemałe zdziwienie.

– Dlaczego się dziwicie? Postępują jak ludzie, którzy się procesują: studiuje teczkę z aktami moich przeciwników – objaśnił Wolter.



WANDALIA

ROZDZIAŁ XXIII.

Przybywając zatem do swojego kościoła w porze zimowej Gerold zastał miasto zupełnie opuszczone, nie mające murów, ogolone z mieszkańców. Sanktuarium malutkie, które zbudował świętej pamięci Wicelin. Tam w najsurowszym zimnie, pośród zwałów śniegu, odprawiono mszę świętą. Żadnych wandalskich słuchających oprócz Przybysława i paru innych.

Po odprawieniu świętych misteriiów Przybysław zaprosił biskupa z jego towarzyszami na swój dwór, który był w dość odległej miejscowości. Przybywającego podjął z wielką ochotą i urządził wystawną ucztę: zastawiony stół wypełniało dwadzieścia dań. Ten przykład pokazuje – co roznosiła przedtem wieść – że żaden lud nie jest grzeczniejszy od Wandalów pod względem gościnności.

W przyjmowaniu bowiem gości wszyscy – jakby się umówili – są ochoczy i nie pozwalają się prosić o gościnę: sami oferują ze swej strony. Cokolwiek zbiorą z pól, z rybactwa czy polowania – wszystko znoszą w dziele szczodrości; pyszniąc się, że im kto dzielniejszy – tym hojniejszy.

To ostentacyjne przechwalanie się popycha wielu z nich do kradzieży i rabowania. W każdym razie tego rodzaju występki są u nich właśnie wybacalne; rozgrzeszają pretekstem gościnności. Wedle praw Wandalów bowiem przystoi, żeby – co ukradniejszą nocą – rankiem rozdać gościom.

Jeżeli zaś ktoś – co się niezwykle rzadko zdarza – zostanie przyłapany na tym, że odmówił gościnę, wolno jego dom i zasoby złupić, albo spalić; na co wszyscy na równi się zgadzają; nazywają takiego niegodnym, miernotą i przez wszystkich natych-

miast jest wytykany jako ten, który nie zawahał się odmówić chleba gościowi.

Otóż pozostając tej nocy u księcia /regulus=król małego państwa/, oraz dnia następnego i nocy, przeszli na Wschód, wstępując do najdalszej /zewnątrznej/ Wandalii, goszczeni przez kogoś możnego w szczepie o imieniu Tassemar; ten bowiem ich przyjął.

Wydarzyło się zaś, że przechodząc napotkali /obrazili/ gaj unikalny w owej ziemi; cały bowiem rozpościera się na równinie. Tam, pośród najstarszych dębów zobaczyli święte, jak powiadają, drzewa, które zostały poświęcone bogu tej ziemi, Prone. Otaczał je dziedziniec /atrium/ i nader starannie wykonane ogrodzenie, zbudowane z drewna, zawierające dwie bramy.

Oprócz bowiem penatów i opidów /penates, opida=bóstwa opiekuńcze domostw i grodów/, w których przebywały, jak uważano, poszczególne bóstwa, miejsce to było świętością dla plemienia i całej ziemi. Przypisany był do niego flamen oraz święta i różne rytuały składania ofiar. Tam w każdy poniedziałek zwykle spotykali się z księciem /regulus/ lud i flamen na sądy.

Wstęp na dziedziniec był zabroniony wszystkim prócz kapłana i przybywających, aby złożyć ofiary; albo tych, którym groziła śmierć (miejsce to było ustanowione jako azyl dla nieszczęśników). Tak wielki bowiem szacunek okazywali Wandalowiem swoim świętościom, że nie pozwalają splamić otoczenia świątyni nawet krwią ofiar; z wielkim trudem dopuszczają przysięganie.

Albowiem przysięganie nie jest dla nich niczym innym niż krzywoprzysięstwo; przez pomstę gniewu bogów.

Lud ten ma różnoraki kult bożków. Nie wszyscy bowiem godzą się na ten sam prze-

sądny zwyczaj. Jedni bowiem przedkładają formy wyobrażone w figurach, zamknięte w świątyniach, takie jak był bożek pluneński o imieniu Pogaga. Drudzy zamieszkują lasy czy gaje; jak bóg Prone, którego czcili aldenburczycy /mieszkańcy Starogardu/; te nie mają żadnych wyrażonych przedstawień.

Rzeźbią także liczne /bóstwa/ o dwu, trzech albo jeszcze więcej głowach. Pośród różnorodnych zaś istot boskich, którym przydzielają pola, lasy, smutki oraz rozkosze, nie wyznają /ani nie przeczą istnieniu/ jednego boga w niebiosach, rozkazującego pozostałym; on sam – przepotężny – zajmuje się tylko sprawami niebios. Te zaś, posłuszne przydzielonym obowiązkom, wyszły z jego krwi. I to bóstwo jest znaczniejsze, które jest bliższe bogu bogów.

ROZDZIAŁ XXIV.

Kiedy zaś biskup przybywa ze swoim orszakiem /towarzyszami/ do owego gaju i miejsca bezczeszczenia /profanacji/, biskup zachęca pozostałych, ażeby z ufnością przystąpili do niszczenia świętego gaju. Sam zeskoczywszy z konia zmiażdżył kopią okazałe skrzydła /czoła/ bram.

Gdy weszli na dziedziniec, zrzucili wszystkie jego ogrodzenia wokół owych świętych drzew, a ze stosu drewna, wrzuconego do ognia, wzbudził ogromny pożar. Jednak nie bez obawy, aby przypadkiem nie wywołali zamieszania nie zostali napadnięci przez plemię. Sami zaś – cudownie obrońcy – odeszli.

Przybyli do wyznaczonego miejsca odpoczynku, gdzie Tessemar przyjął ich z wielką wystawnością. Jednak kubki Wandalów nie były dla nich słodkie ani miłe, ponieważ spostrzegli dyby oraz różne rodzaje tortur, które były szykowane dla chrześcijan przywiezionych z Danii. Zobaczyli tam z jękiem kapłani Pańscy wycieńczonych długotrwałą klęską, którym biskup nie mógł przyjść z pomocą ani siłą, ani prośbą.

Najbliższej niedzieli /dnia Pańskiego/ zeszedł się lud całej ziemi na rynek lubeczki. Biskup przybywając przedstawił ludowi słowo zachęty, żeby pozostawiwszy bałwany czcili jednego Boga, który jest w niebiosach; a – przyjąwszy łaskę chrztu – odrzucili złe dzieła, grabieże i mordowanie chrześcijan.

I gdy przemówił do ludu, a pozostali się przychyłali, rzecze Przybysław: – Twoje słowa, czcigodny biskupie, są słowami Boga i – przyznajemy – odpowiadają naszemu zbawieniu. Ale jak wejdziemy na tę drogę obciążeni tak wielkimi ułomnościami /grzechami/? Lecz byś mógł zrozumieć nasze cierpienie /obrażenie, zmartwienie/, przyjmij cierpliwie moje słowa.

Lud, na który patrzysz, jest twoim ludem. Jest rzeczą słuszną, abyśmy ci przedstawili naszą konieczność. Twoją rolą będzie nam współczuć i – jak będziesz mógł – nas wesprzeć. Książęta nasi postanawiają z taką srogością nas grabić, że z racji danin i najtwardszej służebności /servitus/, lepiej byłoby umrzeć, niż żyć.

Oto tego roku my mieszkańcy najmniejszego zakątka uiściliśmy księciu tysiąc grzywien /marcae/. Dalej: komesowi tyleż groszy /centena/ i o mało co nie kupujemy, żeby żyć. Lecz tylekroć jesteśmy obdzierani ze skóry i uciskani aż do wycieńczenia. Jakże więc mielibyśmy się opierać /nie mieć/ tej nowej religii, żeby nie budować kościołów i nie przyjmować chrztu, co wprowadza nowe codzienne ciężary, że tylko myśleć o ucieczce?

Gdybyż jeszcze było gdzie uciec? Przeprowadzając się bowiem przez Trawenę oto nadarza się podobna klęska; przychodzących do rzeki Piany /Panis/ – to samo czeka. Cóż zatem pozostaje, jeśli nie opuszczenia ziem i przeniesienie się na morze i zamieszkanie pośród topieli?

Albo jaka byłaby nasza wina, jeżeli wypędzeni z ziemi zrobilibyśmy zamieszanie na morzu? I złupimy Duńczyków oraz pozostałe ludy, żeglując w poszukiwaniu /

dla/ zysku? Czyż nie będzie to wina książąt, którzy nas wypędzają?

Na to biskup: – To, że nasi książęta nadużywają ludu Wandalów – nie jest dziwne. Nie uważają bowiem, że popełniają wielkie przestępstwo /są winni/ wobec bałwochwalców, albo żyjących bez prawdziwego boga. Przejdźcie więc raczej do praktyk /ritus/ naszego chrześcijaństwa i poddajcie się Bogu stwórcy wszystkiego, pod którym zginają się ci co noszą /dźwigają/ świat /krąg ziemski/; a wasz ciężar stanie się dużo lżejszy.

Czyż Sasi i pozostałe ludy określane mianem chrześcijańskim, nie żyją w spo-

koju, zadowoleni ze swoich praw? Wy zaś, odpowiednio do tego jak odróżniacie się od wszystkich kulturą i religią, tak też cierpicie z powodu nienawiści wszystkich i wystawiacie się na rabunek.

A Przybysław rzecze: – Jeśli panu księciu i tobie podoba się, żebyśmy mieli tę samą formę kultury z komesem, to niech zostaną nam nadane prawa Sasów w posiadłościach i dochodach, a z chęcią podejmiemy chrześcijańskie świętości, zbudujemy kościoły i będziemy uiszczać dziesięciny. Biskup obiecał się tym zająć i odszedł.

/Przełożył Józef Kabaj/



Oto znajdujemy się w świecie absurdów, piętnowanych przez wiele lat przez Stanisława Bareję. Po odrodzeniu demokracji liczba absurdów gwałtownie wybuchła, przez co wszystko, czego się nie dotknijemy dostaje tytuł „Barei”.

Polska to:

(...) kraj, w którym 30% Polaków uważa, że największym zagrożeniem dla demokracji jest demokratycznie wybrany rząd i prezydent;

kraj, w którym urzędnik państwowy wysokiego szczebla nie ma matury, a kierowca ciężarówki albo kelner w restauracji ma dyplom magistra;

kraj, w którym z kelnerem można porozmawiać po angielsku, z barmanką po niemiecku, z kucharzem po francusku, a z ministrem lub jakimkolwiek urzędnikiem państwowym tylko za pośrednictwem tłumacza;

kraj, w którym za nieuctwo dostaje się pozytywny wynik z matury;

kraj, w którym zwrócenie uwagi urzędnikowi kończy się sądowym skazaniem petenta;

kraj, w którym urzędnik za swoją błędną decyzję, nierzadko mającą olbrzymie konsekwencje (np. bankructwo prywatnej firmy) co najwyżej otrzymuje naganę, chociaż istnieje prawo, wg którego grozi mu za to nawet więzienie;

kraj, w którym biurokrację miał zwalczać Urząd ds. zwalczania biurokracji;

kraj, który był nazywany przez Polaków trzecim światem, a przez resz-

tę świata szybko rozwijającym się krajem, który wraz z nadejściem Euro 2012 znalazł się w gronie najbogatszych państw na świecie...;



...i jeszcze kraj, w którym jak Polacy zaczęli cieszyć się z życia w swoim kraju – stał się pośmiewiskiem całej świata i utracił swoje przywództwo w Europie Środkowo-Wschodniej;

kraj, w którym rząd wspiera piramidy finansowe;

kraj, w którym pacjenci szpitali państwowych czekają 2 lata na zabieg, podczas gdy szpital prywatny oferuje terminy na jutro;

kraj, w którym istnieje państwowa służba zdrowia oraz prywatne ośrodki, chociaż istnieje przymus opłacania państwowego molocha;

kraj, w którym wszystkie twoje oszczędności zgromadzone w ZUS-ie przepadają, gdy umierasz przed wiekiem emerytalnym,

kraj, w którym pluje się na szczypiarzy, którzy zdobyli czwarte miejsce na olimpiadzie w Rio, choć wcześniej byli Mistrzami Europy;

kraj, w którym można gnoić siatkarzy, którzy w 2016 nie zdobyli medalu olimpijskiego, ale dwa lata wcześniej uzyskali tytuł mistrza świata;

kraj, w którym największą liczbą czytelników mogą pochwalić się Fakt i Super Express;

kraj, w którym buduje się lotniska, a dopiero później się zastanawia, czy są rentowne;

kraj, w którym na dwóch Polaków przypada osiem problemów;

kraj, z którego wyjeżdża co roku pół miliona Polaków i do którego wjeżdża pół miliona Ukraińców;

kraj, w którym podczas obchodów chrztu Polski oddawało się hołd zmarłemu w 2010 roku prezydentowi;

kraj, w którym 80% Polaków gardziło Lechem Kaczyńskim do 10 kwietnia 2010 roku, a potem 80% pokochało;

(...) kraj, w którym zapowiada się niezapowiadane kontrole w urzędach;

kraj, w którym pracę w urzędzie pracy dostają tylko pracownicy urzędu;

kraj, w którym za dwa razy cięższą pracę, zarabia się cztery razy mniej niż w Zachodniej Europie;

kraj, gdzie od wielu lat jest niż demograficzny, a mimo to szkoły, przedszkola i poprawczaki są od zawsze przepelnione;

kraj, gdzie partie głoszą się klerykalnymi, ale każdy członek w nosie ma słowa Franciszka;

kraj, w którym za pedofilię księdzu grozi co najwyżej przeniesienie do innej parafii;

kraj, gdzie „Sprawa dla reportera” czy „Państwo w państwie” są skuteczniejsze od prokuratury;

kraj, który za czasów rządów socjalisty był na szczycie najbardziej liberalnych

gospodarek, a za czasów rządów liberała spadł poniżej poziomu Madagaskaru, Mongolii czy Kirgistanu;

kraj, który nie posiada własnej marki samochodu osobowego, a jednocześnie Polacy szyczą z samochodów czeskich i rumuńskich;

(...) kraj, w którym lekarz może wystawić sam sobie zwolnienia lekarskie i nie przychodzić do roboty nawet 3 miesiące, bo sprawa sądowa na ten temat nie rozstrzygnie się z powodu jego złego stanu zdrowia popartego tymi właśnie zaświadczeniami lekarskimi;

kraj, w którym, aby zostać politykiem, trzeba być kompletnym bałwanem;

kraj, w którym politycy odradzają głosowanie w referendum, jakkolwiek bezsensowne (rok przed wyborami) by ono nie było;

kraj, w którym w wyborach ogólnokrajowych frekwencja rzadko przekracza 50%, a w wyborach uzupełniających sięga najwyżej 15%, ale wszyscy narzekają, że wybrano złych ludzi do rządzenia;

kraj, który nie ma osiągnięć w nauce, a jednocześnie 90% Polaków to eksperci od wszystkiego;

kraj, w którym nauczyciel zarabia grose, a mimo to pedagogika jest co roku oblegana na uczelniach;

kraj, w którym skarbowka goni obywatela za 20 groszy, a wielkie piramidy finansowe nie są kontrolowane;

kraj, w którym do lekcji wychowania do życia w rodzinie zatrudnia się katechetów;

kraj, w którym w ramach e-administracji zatrudniono paru tysięcy nowych

urzędników, którzy potrafią obsługiwać komputery;

kraj, w którym prywatne firmy mogą zakładać blokady na koła samochodów, mimo że takie kompetencje mają wyłącznie policja i straż miejska;

kraj, w którym możesz dostać mandat za przekroczenie prędkości nawet jeśli na zdjęciu z fotoradaru nie widzisz twój samochód, a w dodatku nawet nie możesz zobaczyć tego zdjęcia (opcjonalnie można Tobie zabrać prawo jazdy na podstawie błędu systemu punktów karnych w systemie, który w tym samym czasie był naprawiony);

kraj, w którym za wzorowego policjanta uważa się takiego, co podczas swojej służby nigdy nie strzelał z broni;

kraj, w którym straż miejska wystawia mandaty kierowcom i ściga za ich niepłacenie, chociaż generalna prokuratura ogłasza, że jest to nielegalne działanie;

kraj, w którym prawo zabrania przewozu przez karetkę pogotowia ciała osoby zmarłej podczas reanimacji w tejże karcie;

kraj, w którym możesz dostać mandat za przekroczenie prędkości, nawet jeśli twoje auto wiozą na lawecie;

kraj, gdzie lekarze w swym katolickim miłosierdziu i szacunku dla życia zmuszają kobiety do rodzenia zdeformowanych, półmózgich dzieci, które i tak nie mają najmniejszej szansy na przeżycie; kraj, w którym sumienie i ideologia stoją wyżej od prawa;

kraj, w którym sąd skazuje na więzienie osobę upośledzoną za kradzież batonika, a sprawy dotyczące przekrętów, które opiewają na miliony złotych, są umorzony;

kraj, który potrafił zremisować z mistrzami świata w piłce nożnej i jednocześnie z drużyną z Kazachstanu, która nie osiągnęła żadnego sukcesu od chwili uzyskania niepodległości;

kraj, w którym informacja o rzekomym podłożeniu bomby jest odczytywana dzień po rzekomej eksplozji;

kraj, w którym kaca leczy się wódką;

kraj, w którym niewidomy musi rozpoznać agresora na komisariacie policji;

kraj, w którym możesz kupić ciupagę nad morzem i muszlę w Zakopanym;

kraj, który oskarża Niemcy o podporządkowanie sobie Europy, i który nie ma nic przeciwko braniu funduszy europejskich, do których najwięcej dokładają się Niemcy;

kraj, w którym różne znane postaci zasłużone dla Polski są usuwane z ulic, gdyż rzekomo były powiązane z komunizmem, jednak wcale nie były;

kraj, w którym w ramach planów budowy polskiej Kolei Dużych Prędkości zamówiono szybkie pociągi Pendolino bez uprzedniego przygotowania torów pod jazdę 250 km/h, wskutek czego jeżdżą one prawie tyle samo co tańsze wagonowe składy Express Inter City, choć są droższe;

kraj, w którym wszyscy uważają disco polo za obciachową muzykę, jednak wszyscy znają słowa wielu piosenek;

kraj, w którym jeden budynek może znajdować się równocześnie przy dwóch ulicach i mieć dwa numery.

5 lipca odbyła się po raz kolejny **uroczystość dla uczczenia rocznicy tragicznej śmierci Tadeusza Boya-Żeleńskiego**.

Pod pomnikiem Doktora zgromadzili się artyści i sympatycy Towarzystw Kultury Świeckiej.

Prezydenta Miasta Krakowa reprezentował p. Robert Piaskowski, Pełnomocnik ds. Kultury.

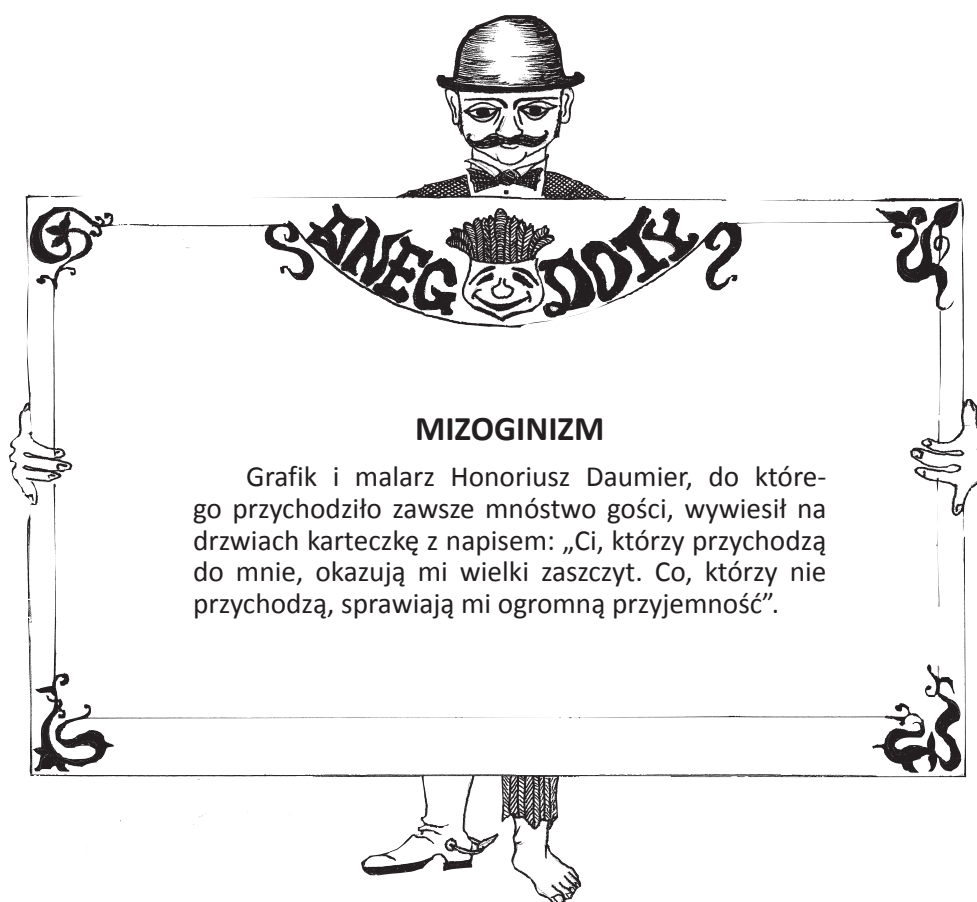
Po kilku krótkich wystąpieniach delegacja i inni uczestnicy spotkania złożyli u stóp pomnika wieńce i wiązanki kwiatów.

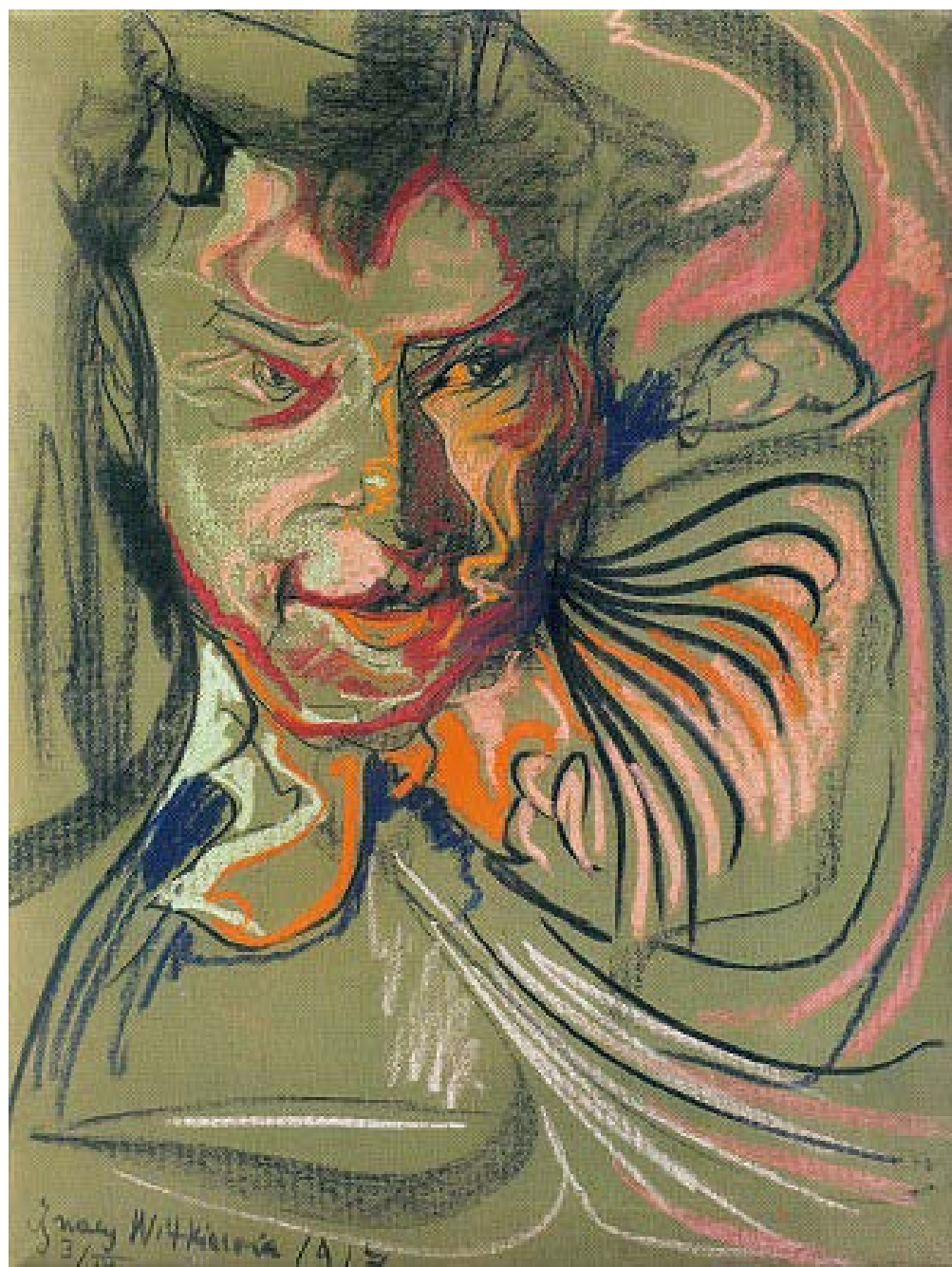


P.A.









Witkacy, *Portret męski*



■ Wszystko, cokolwiek się powie o kobiecie, jest prawdą.

Honoré de Balzac

■ Piękna kobieta podoba się oczom, dobra kobieta – sercu. Pierwsza jest klejnotem, druga – skarbem.

Napoleon Bonaparte

■ Kobiety mogą uczynić milionerem takiego mężczyznę, który jest miliarderem.

Charles Chaplin

■ Kobiety tylko dlatego tak się stroją, że oko mężczyzny jest lepiej rozwinięte niż jego rozum.

Doris Day

■ Mężczyźni polują, kobiety łowią.

Wiktor Hugo

■ Świat bez kobiet byłby jak ogród bez kwiatów.

Pierre Brantôme

■ Kobieta jest cudem boskim, szczególnie jeśli ma diabła za skórą.

Alfons Allais

■ Kobiety trzeba kochać w każdym wieku. Zwłaszcza w dwudziestym.

Maurice Chevalier

■ Ile razy mężczyzna patrzy na kobietę, szatan zakłada mu różowe okulary.

Bolesław Prus



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu

W. Kacy



Stanisław Ignacy Witkiewicz
Ogólne zamieszanie